

DROGA DO OJCZYZNY

ADOLF LEKKI

...W południowych powiatach województwa lubelskiego sytuacja polityczna administracji nadal się pogarsza. Przeważająca część powiatu chełmskiego, kraśnickiego i biłgorajskiego opanowana jest przez bandę. Na terenach tych przeciwnik zdobywa sobie ludność, w wyniku czego bandy wznoszą się na sile. Bandy składają się z różnych warstw ludności i dowodzone są przez oficerów rażenieckich i polskich. W ostatnim czasie wielokrotnie zaatakowane zostały nasze jednostki wojskowe. Straty po naszej stronie są większe niż po stronie band. Na południu powiatu chełmskiego w gminie Wójstawice i Rakotupy do władzy doszły ponownie bandy PPR-owskie, po wycofaniu się policji ochronnej z Wójstawic. Sytuacja polityczna na terenie powiatu kraśnickiego nadal jest napięta i ostra...

(Z raportu komendanta żandarmerii niemieckiej na powiat chełmski. Data nieznana. Prawdopodobnie rok 1944, kwiecień.)

... 15 września 1942 roku akcja na stacji kolejowej Rzeczyca. Urządzenia stacyjne zniszczone. Ochrona niemiecka ostrzelana, ucieka w popłochu. Podpalono pociąg wojskowy przeznaczony na front wschodni. Spalony transport z silnikami lotniczymi (kilkadziesiąt wagonów). Zniszczony tor.

... 24 września Niemcy starają się okrążyć oddział pod Dębowcem. Oddział niespodziewanie naciera na żandarmerię pod usią Szwedę w powiecie kraśnickim. Po prawie dwugodzinnej walce Niemcy wycofują się. Straty własne: 1 zabity, 1 ciężko ranny (Lonka Koszelew). Straty Niemców: kilku zabitych i rannych.

... 7 listopada. Rozbite obozu koncentracyjnego pod Janiszewem. Uwolnienie przeszło 500 więźniów. Zastrzelono komendanta obozu Petera Ignora. Zdobyto: 1 KM, kilka Kb, amunicję, granaty, kasę, mundury itp.

(Wyjątki z raportów oddziału Armii Ludowej im. T. Kościuszki, wchodzącego w skład „Brygady Ziemi Lubelskiej”. Dowódca — Grzegorz Korczyński, obecnie generał dywizji.)

...Warto podkreślić i ten doniosły, historyczny fakt, że mimo wysiłków nie udało się hitlerowcom zorganizować w Polsce ani jednego oddziału, którym mogliby się posłużyć na frontach i powiedzieć światu, że i Polacy — obok innych narodów — zbrojnie wstępują w interesach III Rzeszy.

...Jednocześnie historycy nasi, pisarze i socjologowie, winni w swych pracach uwzględnić i tę prawdę, że w latach okupacyjnej niewoli starali się o wpływy w narodzie zwykli szubrawcy, zdrajcy, którzy współpracując z hitlerowcami nazywali siebie dość szumnie „Narodowe Siły Zbrojne...”

(Z przemówienia gen. Moczara na sesji popularno-naukowej poświęconej ruchowi oporu na Lubelszczyźnie, zorganizowanej przez KW PZPR w Lublinie.)

...W okresie sprawozdawczym sytuacja znacznie się pogorszyła. Bandy działają na tym samym terenie. W południowej części powiatu puławskiego wystąpienia band w sile 100 lub 200 ludzi nie należą do rzadkości. Wydaje się, że bandy posiadają swoją stałą siedzibę w powiecie kraśnickim. Propaganda szeptana prowadzona jest gorliwie przez podziemie a szczególnie przez organizacje komunistyczne i na-

rodowe (narodowe — AK). Na ogół można stwierdzić, że organizacja komunistyczna pracuje planowo, natomiast AK jak gdyby nie posiada jednolitego kierownictwa. Grozi to niebezpieczeństwem, że część ruchu narodowego może się połączyć z prądem komunistycznym lub też, że komuniści maskując się umiejętnie mogą wykorzystać ruch narodowy dla swoich celów. W ostatnich czasach daje się zauważyć zwiększenie się wpływów komunistycznych wśród ludności polskiej...

(Z raportu żandarmerii niemieckiej w powiecie kraśnickim. Rok 1944.)

Raporty... rozkazy... sprawozdania i wspomnienia. Bezcenne źródło materiałów dla badania historii ruchu oporu na terenie województwa lubelskiego, noszącego słusznie nazwę „kolebki ruchu partyzanckiego w Polsce”. Wśród faktów i dokumentów jest jedno wspomnienie niepełne, fragmentaryczne. Czego nie napisał naoczny świadek tego zdarzenia, powiedzieć musi wyobraźnia.

Jeśli to prawda panie majorze...*

Major M. obracał w rękach otrzymaną przed chwilą list. List nie miał żadnego adresu. Niebieska koperta była zmięta i zbrudzona. Widocznie nie obchodzono się z nią zbyt starannie. Była to jedna z wielu kopert, jakie codziennie dostarczali do sztabu łącznicy, wewnątrz niej leżał złożony we czworo kawałek papieru. List jak wiele innych. W nim zawarta była może czyjaś śmierć, czyjeś bezpieczeństwo, narodzić się z niego mógł plan akcji, a także kilkudziesięciu odpoczynek.

Major M. nie zwróciłby na ten list specjalnej uwagi, gdyby nie dziwne okoliczności, w jakich został doręczony. Zaledwie przed godziną koło placówek jego oddziału przechodził oddział AK. Dowódca tego oddziału rzucił kopertę wartownikowi.

— Oddaj to swojemu dowódcy majorowi M. — powiedział.

Ten sposób utrzymywania kontaktów między oddziałami Armii Ludowej i Armii Krajowej nie był w zasadzie praktykowany. Oddziały porozumiewały się dotychczas zawsze drogą delegacji, za pośrednictwem łączników, lub po prostu spotkań dowódców.

Major M. obejrzał jeszcze raz kopertę, potem otworzył ją i przeczytał list. Zmiał kartkę w rękach i zamierzał ją cisnąć w krzaki, ale widocznie jakaś myśl przyszła mu do głowy, bo skinął na wartownika.

— Przywołaj do mnie Kolkę — rozkazał. Oczekując na przybycie zwiadowcy, jeszcze raz przeczytał otrzymaną przed chwilą list. Oto jego treść:

„Skazuje się majora M. na karę śmierci za zdradę Ojczyzny”.

Następował podpis komendanta obwodu AK w Lubartowie.

— To już przestaje być zabawne — mruknął do siebie. Już kilkakrotnie otrzymywał od tego samego komendanta upomnienia, teraz nadeszła kolej na wyrok śmierci. Stosunki między Armią Ludową i Armią Krajową nie zawsze układały się jak należy. Wyższe dowództwo AK, działając zgodnie z dyktandami rządu londyńskiego, patrzyło nie-

*) Opowiadanie oparte na fakcie autentycznym.

chętnie a nawet wrogo na działalność Armii Ludowej i chociaż w dole między obydwojma Armiąmi zawiązywała się współpraca na płaszczyźnie walki z najeźdźcą, to jednak znajdowali się dowódcy oddziałów gotowi w każdej chwili wykonać nawet najpodlejszy rozkaz płynący z góry. Wycałowało się, że dowódca lubartowskiego obwodu AK należy właśnie do takich ludzi.

Przed majorem M. stanął Kolka. Zameldował się krótko, zgodnie z regulaminem. Major lubił tego wesołego, dzielnego partyzanta. Kolka, niegdyś żołnierz Armii Czerwonej, dostał się do niewoli w pierwszym roku wojny. Rzyknął życie uciekł z obozu. Początkowo, wspólnie z takimi jak on ludźmi, zorganizował mały oddział partyzancki, potem, gdy powstała Armia Ludowa, wstąpił w jej szeregi. Dla niego walka w lasach lubelskich była równie walką o wypędzenie faszystów z rodzinnej Ukrainy.

Major M. popatrzył w oczy Kolce.

— Trzeba wykonać bardzo trudne zadanie — powiedział. Wydostał mapę, rozpostarł ją, potem zapytał: — Masz ochotę?

— Na dobrą żupe, ładną kobietę i trudną robotę zawsze mam ochotę — odpowiedział Kolka. Warunki partyzanckiego życia nie zmieniły jego wesołego usposobienia.

— To dobrze. Słuchaj. Weźmiesz trzech ludzi i pojedziesz do Lubartowa. Trzeba dostarczyć tutaj do naszego obozu komendanta obwodu AK. Jest on

kierownikiem szkoły. Musisz pamiętać, że jest to oficer i że na pewno ma dobrą ochronę. Działać trzeba rozważnie i szybko.

— Rozkaz.

Major M. podał Kolce dokładnie marszrutę, adres komendanta. — Plan działania ustalisz sobie na miejscu w zależności od sytuacji. Za wszelką cenę należy unikać walki — polecił.

Minęło dwa dni. Był chłodny, mimo że czerwcowy, poranek. Słońce wymyte w deszczu, który padał cały poprzedni dzień, wstało wesołe, rześkie. Rozkropiło się na leśnym podszyciu i igliwiu drzew, jasnymi smugami wdarło się między konary, swoją rzeźkością zarażiło świat.

Major siadał właśnie do śniadania w swoim szałasie, gdy zawiadomiono go, że wrócił zwiad wysłany przed dwoma dniami. Kolka wjechał do obozu z animuszem. Stał na chłopskim wozie, rozkraczony, roześmiany. Poganiał batem chłopskie szkapy i krzychał na cały głos:

— Miejsce dla pana komendanta. Miejsce dla pana komendanta.

Na wozie leżał skrupowany porucznik S., dowódca obwodu AK. Zwiadowcy zabrali go niemal z samego środka jego własnego obozu. Podobnego czynu mógł dokonać tylko Kmicic. Kolka podjechał do stanowiska dowodzenia, zeskokczył z wozu i widząc w oknie majora zameldował:

— Rozkaz wykonany. Strat nie ma.

— Wprowadzić jeńca.

Porucznik S. stał przy drzwiach. Ręce miał skrupowane do tyłu, włosy rozczochrane. Był dobrze zbudowany. Wiek — około 40 lat. Mimo pozornego spokoju, w oczach jego czaił się strach. Już wiedział w czym znajduje się ręku i domyślał się, jakie będzie zakończenie. Przecież on pierwszy wydał wyrok śmierci na majora M. Czego więc mógł się spodziewać?

(Dokończenie na str. 2)

S. I. Witkiewicz — Portret dra Teodora Białynickiego — Biruli
vide artykuł „Formiści” na str. 6



SPRAWY KULTURY TEMATEM OBRAD PLENARNEGO ZEBRANIA KOMITETU WOJEWÓDZKIEGO PZPR W LUBLINIE

W początkach lipca obradowało w Lublinie plenarne zebranie Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Tematem obrad były sprawy kultury naszego województwa oraz udział organizacji partyjnych w kierowaniu życiem kulturalnym.

Referat w tej sprawie wygłosił I Sekretarz KW Władysław Kozdra. Zarówno w referacie Sekretarza, jak i w dyskusji na plenum podkreślano prawo twórcy do pełnej swobody twórczej, lecz równocześnie uznano za słuszną, aby polityce wydawniczej i działalności zmierzającej do upowszechniania kultury postawić większe wymagania. Chodzi o to, aby kultura służyła sprawie budownictwa socjalistycznego w naszym kraju. Członkowie plenarnego zebrania KW rozważali możliwość organizowania środowiskowych narad działaczy kulturalnych. Wydaje się, że narady takie mogłyby spełnić pozytywną rolę.

Plenum KW nie podjęło żadnej uchwały. Powołana została natomiast komisja, która, po przeprowadzeniu narad środowiskowych z twórcami i działaczami kulturalnymi zarówno w Lublinie, jak i w miastach powiatowych, opracuje projekt uchwały. Projekt poddany będzie pod dyskusję na jednym z następnych zebrań plenarnych KW i po zatwierdzeniu będzie obowiązywał jako uchwała. (1)

Podziękowanie

W numerze jubileuszowym „Kamenu” zostały zamieszczone w extenso gratulacje i życzenia nadesłane redakcji przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Egzekutywę KW PZPR w Lublinie, Prezydium oraz Wydziały Kultury Prezydium WRN i MRN. Po wydrukowaniu numeru nadeszła depesza następującej treści od Prezesa Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich:

„Nie mogąc przybyć osobiście przesyłam życzenia dalszej owocnej pracy Zespołowi „Kamenu”, która swą ćwierćwiekową działalnością owocnie służyła piśmiennictwu naszemu i kulturze narodowej — Antoni Słonimski.”

W związku z jubileuszem „Kamenu” otrzymaliśmy między innymi także depesze gratulacyjne od reż. Zbigniewa Besserta, p. Zdzisławy Bieleckiej, Konrada Bielskiego, Mariana Brandysa, pracowników i dyrekcji „Estrady”, red. „Głosu Ziemi Lubelskiej”, Czesława Janczarskiego, Mariana Piechała, zespołu „Przeglądu Kulturalnego”, Jerzego Mieczysława Rytarda, kier. Wydziału Kultury PWRN Franciszka Stoczkowskiego, Ewy Szelburg Zarembiny, „Twórczości”, red. „Tygodnika Powszechnego”.

Wielkie podzwonne mitom

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Koncepcja tej powieści*) wywodzi się formalnie z konwencji, jaką literatura dwudziestolecia wytworzyła w stosunku do tematyki wojennej, ściślej — wobec fabuły osnutych na wypadkach pierwszej wojny światowej. Charakterystyka wojny poprzez przeżycia tzw. „szarego” żołnierza, sens, a częściej bezsens wielkich operacji militarnych skondensowanych w jednym, z pozoru mało ważnym epizodzie, antyhumanizm walki człowieka z człowiekiem, rozmiękczenie na powszednie „okopowe” sytuacje — oto „szkielet problematyki, który — w najróżniejszych konkretyzacjach artystycznych — możemy znaleźć nieodmiennie w „Wielkiej wojnie białych ludzi”, „Na Zachodzie bez zmian”, a nawet w Szwedzkim cyklu Haška — że wymienię tylko owe najczęściej przytaczane przykłady. Ta literatura, zwana niekiedy ogólnikowo a pogardliwie „pacyfistyczną”, nadkręśliła poważnie wypracowany już przez średniowieczną epikę i sztukę rycerską mit wojny pięknej i szlachetnej, niezawodnego probiera odwagi i innych męskich cnót, który miał podjąć i spopularyzować później romantyzm tudzież inne, najczęściej narodowe, a

*) Ernest Hemingway: „Komu bije dzwon”. Przekład Bronisława Zielińskiego. Warszawa, 1958. Czytelnik, s. 631. 1 nrb.

Listy z życzeniami nadesłali m. in. Zbigniew Bieńkowski, Tadeusz Bocheński, Stanisław Czernik, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Jan Maria Gisges, Maria Hiszpańska Neumann, Kazimiera Rłakowiczówna, Jarosław Iwaszkiewicz, Anna Kamińska, Karol Kurtyluk, Aleksander Mazurek z Leedsu w Anglii, Jan Nepomucen Miller, Zbigniew Pędziński, Włodzimierz Słobodnik, redakcja „Sztandaru Ludu”, Jan Alfred Szczepański, Maria Szczepańska, Jan Śpiewak, Grzegorz Timofiejew, Jadwiga Ważewska.

Wszystkim, którzy w związku z 25-leciem „Kamenu” w ten czy inny sposób dali dowody swej sympatii do naszego pisma, przekazujemy tą drogą serdeczne podziękowania.

raczej szowinistyczne kierunki i szkoły literackie, zresztą — nie tylko literackie.

Hiszpańska wojna domowa, o której mówi „Komu bije dzwon”, ma niewątpliwie wiele z cech takiego zdeformowanego bohatera mitu. Czerwona obwołana księżka, w jaką PIW ubrał jej polską edycję, wyraża, być może, intencję wydawcy zasugerowania czytelnikowi koloru ideowych i politycznych sympatii Hemingwaya, które wyrażają się zwłaszcza w podtekstach bardzo na pozór zobiektywizowanej i odautorsko beznamiennej fabuły utworu. Amerykański obserwator Hiszpanii roku 1936 — wiele jego myśli i wrażeń, a chyba i uczuć odziedziczył wypełniający pierwszy plan opowieści Robert Jordan — nie powtórzył przecież gestu Pilata, przeciwnie: bystro rozszedł konflikt między sprawiedliwością a krzywdą, którego pomnożone po wielokroć echo wypełniło w trzy lata później cały cywilizowany świat. Ale sprawiedliwość — biorąc ją po literacku — dzielił przepaść od udrapowanej na podobieństwo fald prokuratora togi techniki czarno-białej, spopularyzowanej u nas w latach schematyzmu, a umieszczającej wszelkie zło w obozie przeciwnika, a wszelkie dobro — we własnym. I dlatego Hemingway nie cofnął się przed pokazaniem okrucieństwa, tchórzostwa i wiarołomności poszczególnych hiszpańskich komunistów, nie uchylił od egzemplifikacji również na ich czynach, myślach i uczuciach straszliwych, antyhumanistycznych konsekwencji „zarażenia wojną”.

Ale „Komu bije dzwon” to nie tylko — co regularnie podkreślają piszący o tej książce — żarliwe oskarżenie wojny jako zorganizowanego, społecznego aparatu przemocy człowieka nad człowiekiem, to przede wszystkim wielki traktat o ludzkiej naturze odartej z wszystkich mitologicznych osłonek, strojów i masek. Mit — obojętnie, czy wypowiada go grecka legenda, czy książka Rosenberga — przemienia się bowiem z pokarmu dla zawsze, od dziecka, lękającej zmyślenia fantazji i wyobraźni ludzkiej w nie mniej groźne od innych, nawet biologicznych klęsk narzędzie zagłady wówczas, gdy z premedytacją zaczyna przypisywać cechy i prerogatywy nadludzkiej jednostce, bądź grupom o ściśle — wbrew zamazany baśniowym konturom — określonych właściwościach. Mit staje się wówczas legitymacją dla przemocy, uzasadnieniem dla gwałtu, moralno-emocjonalnym usprawiedliwieniem dla niesprawiedliwości, o czym przekonał nas niedawno uważni czytelnicy przedmiotowego utworu pt. „Mein Kampf”.

DROGA DO OJCZYZNY

(Dokończenie ze str. 1)

Major M. obserwował jeńca przez chwilę.

— Rozwiązać — rozkazał wartownikowi. Żołnierz wykonał rozkaz. Porucznik S. przez chwilę rozprostował ręce i nieznacznie ruchami rozcierał zaczerwienienie na przegubach. Obok majora M. stał teraz Kolka oraz paru oficerów.

— Niech pan usiądzie — poprosił major porucznika S. — Zje pan z nami śniadanie.

Słowa wywołały odwrotny skutek. Porucznik S. czuł się tak, jak czuje się mysz, gdy ją kot na chwilę uwolni, aby się pobawił. Na chwilę opanował dławiący go strach. Cicho, ale wyraźnie powiedział:

— Po co takie żarty? Przecież i tak mnie zastrzelicie. Zróbcie to prędzej. Nie trzeba męczyć.

Major odłożył widelec, odsunął od siebie miskę. Podniósł się i pośzedł do jeńca.

— Gdyby zabijanie ludzi należało do przyjemności, na pewno zastrzeliłbym pana bez gadania. Prawdę mówiąc, zasłużył pan na to. Ale wiemy obydwaj, że zabijanie ludzi to ostateczność. Zabijamy wrogów, bo napadli na nas. Z panem chciałbym porozmawiać.

Zaczęła się ta rozmowa. Jeden z oficerów skrzętnie notował każde słowo. Major M. mówił o polityce rządu londyńskiego, przytaczał fakty i dowody. Porucznik S. mówił o głębokiej miłości do kraju, o niebezpieczeństwie, jakie według jego zdania stanowi ruch komunistyczny. Major M. mówił, jakie są prawdziwe cele ruchu komuni-

A wszystko wywodzi się z rzeczy dla wszelkich mitotwórców powszedniej, wrodzonej im i z pozoru niewinnej: z totalnego, po Russowsku rozczulającego optymizmu, zaufania do natury ludzi, co prawda tylko — pewnych ludzi.

Otóż Hemingway — przynajmniej ten z „Komu bije dzwon” — takiego zaufania do człowieka nie ma, mimo że zapisuje tyle pięknych kart pochwałę człowieczej miłości (w wątku Roberta i Marii) i przydziela każdemu niemal ze swoich bohaterów tęgą porcję nieklamanej odwagi, poświęcenia, nawet bohaterstwa. W tej przedstawionej w trzech dniach, niby w trzech kolejnych aktach, opowieści o jednej z tysięcy operacji wysadzenia mostu, jakie wypełniły szczególnie bogatą w ataki i odwroty wojnę hiszpańską, partie brutalne, zapierające dech w piersiach naturalistycznym okrucieństwem bestialstwa rozmiękczonego na szczegóły, na realia i sytuacje bijące twardością konkretnie w wyobraźnię czytelnika — te, dosłownie, ociekające krwią stroniące, celowo sąsiadujące z fragmentami przesyconymi najbardziej intymnym lirycznym wzruszeniem, zrodzonym ze zdumiewającej wrażliwości na najslabsze drgnięcia człowieczeństwa w jego nieposzlakowane szlachetnych formach. Hemingway przynika zatem jak gdyby człowiekowi w osobach swoich bohaterów na wskroś, widzi jego nieogarnione możliwości w dobrym i złym i przedstawia je z prawdziwą wiernością realisty. Wbrew twórcom i wyznawcom mitów nie udziela człowiekowi kredytu na szlachetność bądź podłość, nie suponuje a priori, lecz wnioskuje ex post, nie analizuje idei ludzkości, ale bada ją w skonkretyzowanych z niezwykłą umiejętnością wyobraźni i języka jednostkach.

Stąd „Komu bije dzwon” nie jest lekturą pesymistyczną, lecz nie jest i pokarmem dla — tak częstych nie tylko w kręgach odbiorców sztuki — narkomanów odurzających się mitami. W perypetiach Roberta Jordana i związanej z nim ściślej niż wziętami krwi z nakazu przypadku grupki ludzi zawarł bowiem Hemingway swoistą kwintesencję własnego życia i twórczości zaangażowanej bez reszty w trudne, skomplikowane sprawy otaczającego go świata. Fundament filozoficzny, a nawet — w pewnej przynajmniej mierze — artystyczny „Komu bije dzwon”, „Śniegów Kilimandżaro”, „Biednych i bogatych”, aż po „Starego człowieka i młodego”, jest przecież taki sam: gruntowna znajomość ludzi we wszelkich konkre-

(Dokończenie na str. 7)

stycznego, wyjął, dłażecgo walka może być wygrana tylko pod kierownictwem komunistów.

Płynęły godziny. Jedna... druga... trzecia... Jakże męczące są takie starcia dwóch ludzi o różnych poglądach. Ileż to taktu i rozważli trzeba, aby móc przekonać przeciwnika. Nadeszła pora obiadowa. Porucznik S. jechał razem z majorem M. Nie był przekonany o słuszności słów majora, ale wierzył w jego szczerść. Po posiłku oficerowie wyszli przed szalasy.

— Jeśli naprawdę kocha pan tak Ojczyznę jak pan tutaj mówi, to proszę przemyśleć naszą dzisiejszą rozmowę. A teraz bierz pan te konie i proszę jechać do domu. A tutaj... proszę, to jest pański list.

Porucznik S. trzymał w rękach pomniety wyrok śmierci, podpisany własnym nazwiskiem. To przypomniało mu, gdzie się znajduje, przywróciło poprzedni strach.

— Proszę niech pan odjeżdża tą drogą — Major M. wskazywał leśną dróżkę. Pochylały się nad nią nisko gałęzie drzew, otaczały ją krzewy. Dróżka wyglądała jak tunel.

— A może tam zasadzka? — Porucznik S. nie mógł opanować drżenia głosu.

— To jedź pan tu — major wskazał dróżkę biegnącą w przeciwnym kierunku. Porucznik popatrzył na niego. W oczach miał na przemian nadzieję, zdumienie i obawę. Ale wahanie trwało tylko chwilę. Wskoczył na wóz i, zacinając konie batem, ruszył klusem. Odjechał kilkadziesiąt metrów, zatrzymał wóz. Major stał na poprzednim miejscu i spoglądał za odjeżdżającym. Porucznik wrócił do niego.

— Panie majorze — powiedział cicho — jeśli to prawda, o czym pan mówił, to jestem ostatni duren.

— Mówiłem prawdę — odpowiedział major. — A pan powiedział w tej chwili bardzo dużo. Nie żałuję, że nie kazałem pana rozstrzelać. Może pojedziemy jeszcze ramię w ramię przeciwko Niemcom.

Minął dzień. Była przedwieczorna pora. W obozie AL panował gorączkowy ruch. Odział przygotowywał się do akcji. Zamierzano nocą dokonać napadu na niemiecki garnizon. Właśnie wtedy przybył do obozu oficjalny gońiec od komendanta obwodu AK w Lubartowie porucznika S.

— Pismo do majora M. — zameldował. Major przeczytał list, potem zwrócił się do jednego z oficerów.

— Odczytaj przed frontem.

„Rozkaz komendanta obwodu AK. Jeśli Armia Ludowa potrzebuje będzie paszy dla koni, żywności, pomocy dla rannych lub zbrojnej pomocy do walki z najeźdźcą, rozkazuję pomocy tej udzielić. Rozkazuję współpracować z oddziałami Armii Ludowej dla przyspieszenia ostatecznego zwycięstwa nad niemieckim najeźdźcą. Komendant obwodu AK, Porucznik S.”

Gońiec podał majorowi jeszcze mały pakunek.

— To miałem doręczyć do własnych rąk pana majora — powiedział. W pakunku był widelec z łyżką. Na odwrocie tych przedmiotów wyrte były małe pięcioramiennie gwiazdki.

Kartka dołączona do pakunku informowała:

„Panie majorze. Przesyłam panu te dwa przedmioty zdobyte na bolszewikach w 1920 roku. Przedmioty te aż do wczorajszego dnia stanowiły dla mnie talizman. Zerwałem z nim, Porucznik S.”

Major M. wsunął przedmioty do kieszeni i zamyślił się.

W lipcu br. odbyły się dwie podniosłe uroczystości, a mianowicie XIV rocznica bitwy w lasach janowsko-lipskich oraz XIV rocznica wielkiej bitwy oddziałów partyzanckich w lasach parczewskich. W obchodach tych uroczystości wzięło udział wiele tysięcy ludzi.

Ziemia lubelska w okresie ostatniej wojny przesiąkała krwią. W lasach janowskich na bitwę wojny Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej po dziś dzień spotkać można znaki, które wywołują pamięć tamtych dni. Oto na sośnie postarzały od tamtych czasów o 14 lat widniejące krzyż, wyrty kiedyś przez rannego partyzanta. Nieco dalej na jodle, zalaną, ale jeszcze zupełnie widoczną, widnieją pięcioramienna gwiazdka. W miejscu, gdzie niegdyś mieścił się szpital polowy całkowicie zlikwidowany przez faszystów, na konarze drzewa widać resztki zardzewiałego łańcucha, który zastępował szubieniczny sznur.

Daleka i trudna była droga do Ojczyzny. Dzisiaj, tym wszystkim, którzy na tej drodze padli — najwyższa cześć i chwala.

Adolf Lekki

CHARLES BAUDELAIRE

Skupienie

Zapach egzotyczny

Przełożył SEWERYN POLLAK

Bądź rozważna, Bolesci, powściągnij niepokój.
Przywoływałaś Wieczór, zeszedł już na ziemię:
Ciemności spowinięły miasto w tuman mroku,
Jednym troski przynosząc, innym ukojenie.

Kiedy służalca cięba śmiertelnych w uroku,
Pod biczami Rozkoszy, kata bez sumienia,
Na swym święcie wyrzuty będzie zbierał
Bólu mój, podaj rękę, oddał się bez drżenia

Od nich. Patrz, jak się zmarle pochylają Lata
Na krążgankach Niebiosów, w przestarzałych
szatach,
Jak z głębi wód wylania się Żal uśmiechnięty.

Pod przesłem mostu Słońce umiera jak co
dzień,
I niby długi całun na Wschód rozciągnięty,
Słuchaj, miła, posłuchaj — słodka Noc
nadchodzi.

Kiedy przymknąwszy oczy, w ciepły zmierzch
jesieni,

Wdycham twój łona upalnego wonie,
Widzę szczęśliwe rzeki, w których słońce płonie
Monotonne i blaskiem na fali się mieni.

Oto wyspa leniwa, jakieś dziwne drzewa
I wspaniałe owoce natura jej dała;
Mężczyźni mają wiotkie ale silne ciała,
A wzrok kobiet przedziwną szczerością zdumiewa.

Wiedziony twym zapachem w stref cudownych
stronę,
Widzę port, a w nim maszty i zwinięte żagle,
Jeszcze teraz morskimi falami znużone.

Kiedy się nad zielonym tamaryszkiem waży
Woń w powietrzu i w nozdrza moje wnika nagle,
Mieszając się w mej duszy z śpiewem marynarzy.

GUILLAUME APOLLINAIRE

Dzwony

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Piękny kochanku mój cyganie
Słuchaj jak dzwonów dźwięk się szerzy
Kochaliśmy się opętanie
Myśląc że nikt nas nie dostrzeże

Lecz skryliśmy się źle mój miły
Bo wszystkie dzwony w okolicy
Z wysokich wież nas wytopiły
By wydać naszą tajemnicę

A jutro każdy kogo spotkam
Cyprian Urszulka Katarzynka
Piekarka mąż jej stary plotkarz
No i Gertruda ma kuzynka

Drwię pocznie ze mnie Toś ty taka
Gdzie się podzięje zawstydzona
Ty już daleko Będę płakać
Może od tego nawet skonom
(„Alcool's”)

FERNAND GREGH

Wiersze złociste

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Życie, szczęsne czy smutne, jest piękne,
więc chłoń je
Duszą, która upaja się światła widokiem.
Życie całe jest piękne; śmierć po tamtej stronie
To piękno czyni bardziej wzniosłym i głębokim.

Radość czy ból przyjm sereem mądrym i surowym,
po jasnym ranku niech cię zmierzch nie dziwi senny:
Nie ma nio piękniejszego ponad kwiat kwietniowy,
Chyba ilść złoty wiatrem zdmuchnięty jesiennym.

FRANCIS JAMMES

Elegia

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Ukochany — mówiłaś. Rzekłem: — Ukochana.
— Od rana śnieg, mówiłaś. Rzekłem: — Śnieg
od rana.

— Jeszcze, jeszcze, mówiłaś. — Jeszcze,
powtarzałem.
— O, tak właśnie, mówiłaś. — Tak, odpowiadałem.

Później: — Kocham cię, rzekłaś. — A ja
bardziej jeszcze...
— Piękne lato umarło, rzekłaś. — To już jesień,

odparłem i dźwięk słów tych już nie był podobny.
Aż raz mi powiedziałaś: — Miły, jak cię kocham...

(Ku końcowi chyliła się już pyszna Jesień.)
I odparłem ci: — Powtórz mi to... jeszcze... jeszcze...

LEON VÉRANE

Bar

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

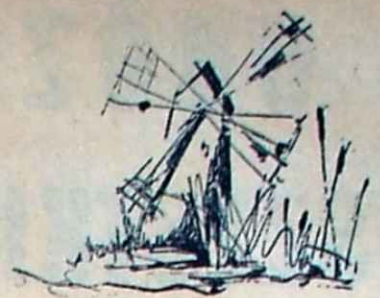
Pośród tych nikli i luster zwodniczych,
Gdzie król-alkohol ukojeniem mam,
Biedny człowieku, kryjesz swe oblicze
Za dziesięcioma palców swych kratami.

Likier w kieliszku płomieniem rozbłyska
I zapach jego mocny i gorący
Nasuwa myśl o dalekich wyspach
Inkrustowanych w móż błękitie lśniącym.

Lecz na cóż ci się zdały dziś Antyle,
Wężowe liany, palmy smukłopienne
I wzgórze to, gdzie panny jak motyle
Wachlują się wdychając woń korzenną.
Inny niż wszyscy ci pijacy zwykli
Na kontuarze błyszczącym ty teraz
Pośród butelek, kieliszków i nikli
Tylko rozpaczy swej ciężar opierasz.

Żaden alkohol już tak nie podziela,
Byś mógł na zawsze z oczu swych wywabić
To białe, giętkie i rozkoszne ciało,
Co się na sofie pyszni wśród jedwabi.

To ciało, w które wpisałbyś tak chętnie,
Jego ofiara i kat jednocześnie,
I swe cierpienie, i wściekłą namiętność
Nożem, co wbiłby się w nie najboleśniej.
(„Bars”)



TADEUSZ
CHROŚCIELEWSKI

Szczara

Ej, mości panie kartografie
Ślęczący z kredką nad „dalekim”,
Lepiej od ciebie dziś potrafię
Oznaczać brzegi tamtej rzeki.

Bierze się księżyc, szuflę cienia,
Sążeń białego tataraku,
Bańkę cerkiewki, łut wspomnienia,
Zwalony wiatrak pełen wiatrów,
Bań o studziencie i dziewczynie...
Bukieciak krwi na cembrowinie.

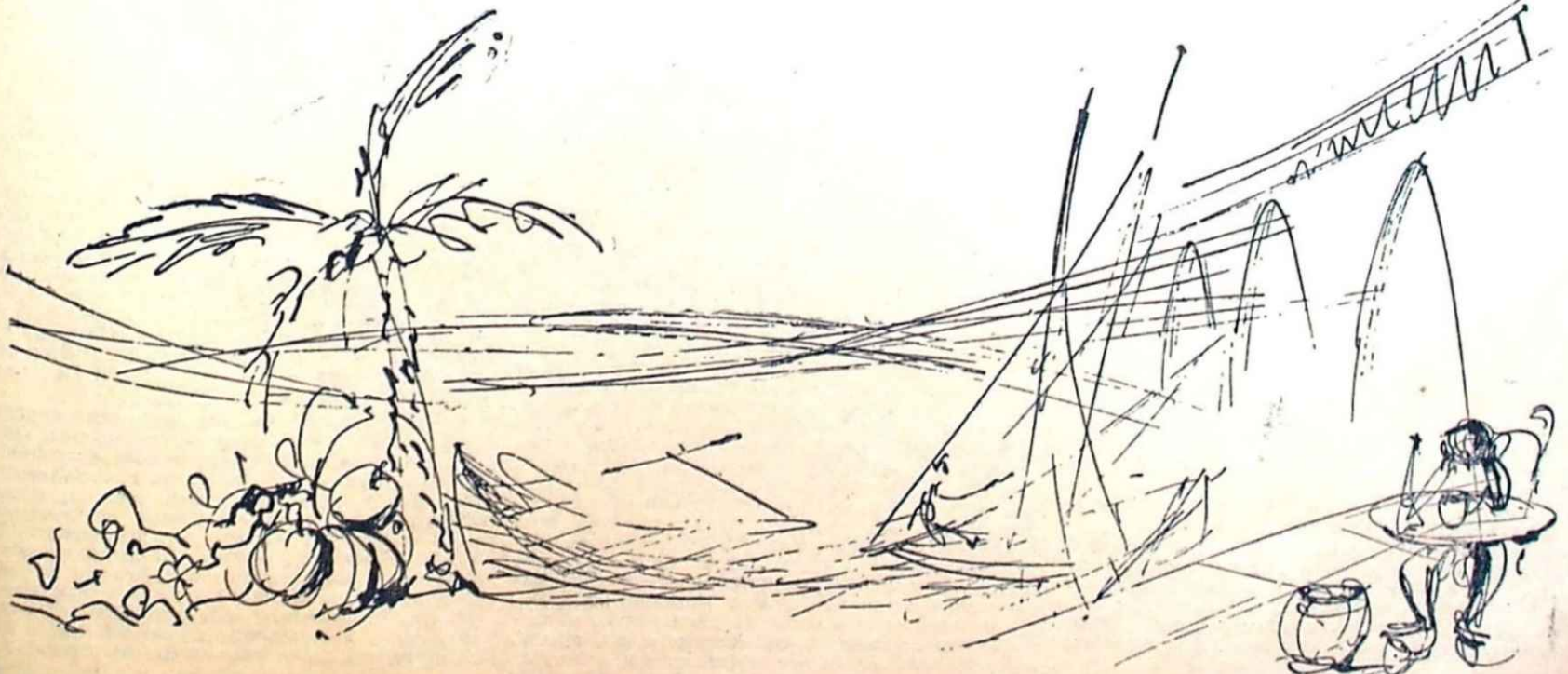
LEOPOLD LEWIN

* * *

Jak przemycić w Charonowej łodzi
Kontrabandę przez czarne topiele:
Nocnej ciszy ekstazy trele,
Panoramę gór, gdy księżyc wschodzi;
Lot jaskółki, co z okien miliona
Moje okno wybrała na gniazdo,
Zarys nowiu z nieodstępną gwiazdą,
Drzew przydrożnych otwarte ramiona;
Smer jeziora, którego powierzchnię
Świt codziennie ogniami zapala,
Śpiew dziewczyny, ścichający z dala,
Śpiew, którego czar nigdy nie

pierzchnie;
Błysk zachwytu, co prześwieśla łono,
Nim kobieta, Muza mego ciała,
Z dna rozkoszy wynurza się żoną;
I szum brzozy, co będzie płakała...

Jak przemycić przez żałobne wody
Choćby chwilę, kiedy byłem młody...



OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH*

TADEUSZ NOWAKOWSKI



KONIEC wojny zastał na torfowiskach ponad dwa tysiące przymusowych robotników różnej narodowości, transport odbitych więźniów i kilkaset oswobodzonych z sąsiedniego obozu kobiet. O nadejściu odsieczy nikt już nie wątpił. Ale nawet ta przeczuwana niespodzianka dla wielu zdawała się być jeszcze jednym kłamstwem więcej. Porażenie nagłą zmianą było tak silne, że trzeba było głośnej zachęty ze strony amerykańskiego oficera, zanim grupa Żydów wyszła z ukrycia. Krótko przed południem pokazało się słońce. Na wystrzał armatni, oddany z oddali, rozpoczął się zawrotny wyścig obrazów, epizodów i sensacji. Jakby olbrzymi ekran spadł z nieba, by umożliwić tysiącom niewolników ujrzeć ich własnego, od lat ukrywanego w wyobraźni, filmu oswobodzenia. Dwie taśmy najpiękniejszego dźwiękowca w technicolorze: szeroki trakt na niebie i szosa na ziemi wprost rwały się w oczach i w uszach od trzasku tysięcy motorów. Jak okiem sięgnąć, wstawały słupy dymu i kurzu. Szosą pędzili gońcy na motocyklach, zgrabnie podskakując w siódekach na progu mostu. Jeepy wisiwały jeden za drugim, jak na konkursie szybkości samochodu. Nawet ciężkie, omączone pyłem czołgi pomykały ze zgrabnością wielkomiejskich taksówek. Górą płynęła druga rzeka wartko: eskadry symetrycznie rozplanowane na paru poziomach horyzontu.

Pierwszy Amerykanin, atletyczny Murzyn w hełmie, osadził jeepa przed magistratem w szpalerze kwiatów i okłasków. Węgierki całowały mu ręce. Włosi rzucali pocałunki w powietrze. Francuzi śpiewali. A polska i ukraińska biedota płakała, chyląc się ku wiśniowemu butom. Żołnierze bez słowa rozgarnęli tłum ręką. Podszedł do najbliższego słupa telegraficznego i przybił na nim znak drogowy: „Slow”. Powachlował się hełmem, ukazując na chwilę karakułowe włosy, po czym znowu rozgarnął tłum rękami, jak pływak wodę, wskoczył do samochodu, zatrąbił i odjechał. To wszystko.

Oswobodziciele, barczyści i młodzi ludzie, wiecznie przykręcający jakąś śrubę w motorze, zmieniający zaoliwione świece i tankujący benzynę, twarze mieli znudzone. Przeglądali się wyzwoleńcom bez sympatii, ale i bez niechęci. Widać było, że nie zależy im na niczyjej wdzięczności. Na okrzyki odpowiadali niechętnym podniesieniem skórzanych rękawic do wysokości hełmu. Rzucając z czołgów pudełka „Chesterfieldów” w tłum, ślizgali się po nim niemym wzrokiem, bez śladu zaciekawienia. Trudno było z tych bezbarwnych min i gestów wyczytać, czy zrozumieli tragedię tej wojny. Czy wręcz nie kleli w duchu „wyprawy krzyżowej” do Europy jako straty czasu, pieniędzy i benzyny? Albo przeciwnie — czy nie pojmowali jej jako „job'u” dolarowego, który należy „złatwić” szybko i precyzyjnie, zatrąbić i odjechać? Może działały w nich niezgłębione prawa psychologiczne podsuwające oswobodzicielowi podświadomą niechęć do oswobodzonego? Dalecy byli od arogancji zwycięzców, ale w zachowaniu ich czuło się złe tajone lekceważenie, coś z odrazy, jaką odczuwają ludzie zdrowi i zamożni na widok nędzy ludzkiej, ludzie silni i uzbrojeni na widok słabych i bezbronych. Mogło to być zwykłe zmęczenie wojną. Mogło to być zwykły, niezawiniony brak wyobraźni: byli to żołnierze bardzo zmotoryzowani.

Jedynie kilku oficerów z sekcji filmowej wykazywało żywsze zainteresowanie więźniami. Grupę żywych szkieletów, obciążonych poślódką skórą, zawieszono z powrotem do obozu, ustawiono przed drzwiami, filmując ją z dachu samochodu. Operatorzy sfotografowali dzieciom numery wytatuowane na ramionach. Dzieci płakały, nie chcąc wejść za druty, z których niedawno wyszły. Musiano je zgromadzić przed bramą obozową. Jeden z oficerów, grubas w rogowych okularach, o wybitnie semickich rysach, podszedł z kodakiem do splakanych Żydówek. Przez wypukłe szkła patrzył w ich szerniałe i zapadnięte twarze krótkim, rybitm wzrokiem. Nie pochylił przed nimi głowy, nie uścił ich brudnych rąk, nie zaplakał nad nimi: „Siostry moje, siostry”, tylko stał na szeroko rozstawionych nogach i przyglądał się im, daleki cudzoziemski turysta. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Dziełło ich coś więcej niż Ocean i obcy język.

Po sfotografowaniu jeńców sowieckich, ścisających dłonie sierżantowi, efekciarz — operator chciał na zakończenie uchwycić grupę polską w... kozaku, ale, nie znalazłszy chętnych, zaklął, zatrąbił i odjechał.

Tymczasem w bezpieczeństwa miejsce gorzało. Tłum pariasów wdarł się w uliczkę z zajadłością termitów.

Z okien ratusza spłynęła gwiazdzista flaga. Wybuchły pierwsze godziny swobody, rozpalonej śpiewem, modlitwą, pijaństwem, kradzieżą, patriotycznym bełkotem, a nade wszystkim jawnym i pokątnym odwetem. Z kijami w ręku zachybołały w zaułkach cienie w więziennych łachmanach z ostrzyżonymi do skóry głowami. Wielu z nich ślaniało się z wycieńczenia, gorączkowo wymachując piśzczelami rąk. Kilku zaś, magnelem nienawiści ściągających z przycy dogorywania, kicało za pochodem, obalając się co chwila, podrywając nieprzytomnie, pełzając po bruku. Z rozbitej wityrny boski Rumuni wyrzucali na ulicę wiaderka marmolady. Rozjuszony muzyk w baraniej czapce wybiegał garściami śledzie z beczki. Kobiety w furii rozbiły gołymi pięściami szyby parterowych okien. Gdzie wdarła się struga ludzka, natychmiast wylały przez okna aparaty radiowe, lustra, zegary, portrety znienawidzonych żołnierzy niemieckich. Wyrwaną pierze z poduszki. Z głuchą nienawiścią wywlokł ktoś za nogi rannego SS-Manna, ukrytego w garażu pod samochodem. Po kilku minutach skończył, rozdrapano, rozdeptano, rozdarty na sztuki. Natychmiast przywlokł się niedobitki. Ochiłapy ludzkie z izby chorych, które z trudem posuwały się wzdłuż ścian. Rozdęte i nadgnięte od puchliny wodnej kadłuby i kikuty „muzumanów” i maruderów. Z grymasem bólu stawiali nogi. Krzyczeli już z daleka. Wreszcie dopadli do trupiej miązgi, bijąc w nią resztkami uchodzących sił. Pluli, charczeli, wczolgiwali się w kałużę krwi i mózgu. Darli i gryźli resztki znienawidzonego munduru...

Podporucznik ujrzał na moment samego siebie pochylonego nad kałużą esesmańskiej krwi. Nienawiść dawała go za gardło. Chciał krzyknąć z innymi. Słowa uwięzły mu w grdyce. Pamięta je po dziś dzień:

— Rozdrapcie go pazurami! Rozdeptacie mu martwy pysk! Dzięki Ci, Boże, za dzień zapłaty! Dzięki Ci, Boże, za ostry nóż! I za zęby do przegryzania gardła! Dzięki Ci, Panie, za łaskę nienawiści!

Dotykał palcami czarnej juchy, dawał się zemsta.

— Za mojego skatowanego krótkowidza przy murze, za wdeptanego w glinę drukarza ze sklejonym lokiem! Za rzeźnika Grześkowiaka, pędzonego przez miasto w kałesonach! Za bosego burmistrza Barciszewskiego! Za skurczzonego księdza Kukuikę! Za restauratora Filipiaka, zatłuczonego kolbą przed Biblioteką! Za kulawego woźnego Maciaszka! Za piekarza Musiala z synem! Za dyrygenta Antczaka z przedziurawioną czaszką! Za fryzjera Szymczaka! Za powieszzonego Frąckowiaka! Za prezesa „Gniazda III”, zakłutego w piwnicy! Za moich sokółów i kręglarzy! Za płaczących ze strachu przed śmiercią harcerzy na Starym Rynku! Za wojnę i nienawiść! Za moje miasto rozstrzelane!

— A ja przeżyłem! — śmiał się, płacząc. — Żyję nie spalony, nie rozstrzelany, nie przysypany mokrym piachem, nie zagłodzony na śmierć, nie zatłuczony esesmańskim bykowcem! żyję k... wasza mać!

Przejeżdżający jeepem patrol wypalił w kłębowski serię, zatrąbił i zniknął na zakręcie. Nieopodal wijących się z bólu ciał na progu spłodowanego domu towarowego, leżało dwóch pijanych jeńców francuskich, spowitych w strzępy ślubnego welonu. Całowali się w usta i gładzili po włosach. Przed balustradą rynkowej studni rozczochrana baba z białym orłem na rękawie rzygała krwią. Cyganiatka obsypała ją workiem mąki ze śmiechem, podobnym do skomlenia bitego psa.

A tam, za kanałem — przypomniał sobie Grzegorzczyk — gromada Serbów odkryła na bocznicę cysternę alkoholu. Setki ludzi pobiegło na stronę dworca jakby ich smagał ogień z powietrza. Na czoło pędzącego tabunu wysunęli się Serbowie. Po chwili cały tłum zblił się w ciasnej bramie dworca. Rozległ się krzyk tratowanych i duszonych. Kobiety potykały się o szyny i podkłady kolejowe. Silniejsi Francuzi odepchnęli Serbów od cysterny. Ledwie się Francuzi dorwali do kranu, już ich Serbowie odciągali za ramiona i nogi. Kilku obdartusów usiadło na wagonie okrakiem, próbując podważyć górną kłapę. Ktoś nadbiegł z siekierą. Wreszcie z poszarpanego boku, jak po uderzeniu Mojżeszowej łaski, trysnął strumień alkoholu. Z krzykiem przedstawiano usta, menażki, czapki, a nawet buty z cholewami. Wszczęła się nowa bijatyka o jedyne wiadro. Najsilniejszy z tłumu kopiąc, gryząc i młóć na oślep pięściami, zagarnął kilka litrów. Nadbiegło coraz więcej ludzi. Zdyszani Włosi, Rosjanie, Polacy i Ukraińcy, rzucali się na brzuch przed olbrzymią kałużą rozlanego płynu, czerpiąc z niej rękami, zanurzając twarze i włosy, chlepcząc jak z koryta, wprost całując brudną sadzawkę. I tylko jeden człowiek, kilkunastoletni wyrostek czeski, biegł zrozpa-

czony wokół zbiegowiska, krzycząc ile sił w piersiach: „Spirytus metylowy”, ale rozpalony tłum nie zwracał nań najmniejszej uwagi.

GŁÓWNEJ ulicy, rozpasane bezkrólowie trwały w miasteczku dłużej. Dopiero na widok tryskającego ponad dachy ognia, od wartko ściekającej na wschód kolumny pojazdów odłączyło się kilka samochołów. Po chwili pojawił się pierwszy „town major”. Osobiście objechał wszystkie uliczki pancernym samochodem, strzelając na postrach w powietrze. Opornych rozkładał na szosie jednym uderzeniem bokserskiej pięści. Po godzinie zapędzono wszystkich z powrotem za druty. Przed barakami stanęły uzbrojone posterunki. Pijanych, nieprzytomnych i nieżywych zawieszono do fabrycznej hali. Z wieżyczki pancernego samochodu ogłoszono przez megafon godzinę policyjną i zakaz wychodzenia do miasta pod karą śmierci. Kiedy się pokazało, że na jeden niewielki barak przypada kilkuset ludzi, część osób, w tym kobiety i dzieci, „town major” rozkazał przetransportować do opuszczonych przez Niemców koszar.

I tam właśnie, na tyłach stoczni — wzdrygnął się Grzegorzczyk — przywitaliśmy pierwszą noc wolności...

Nieprzejrzone mrowie ludzkie, objuczone tobełami, ruszyło na noc do sali gimnastycznej. Przeprowadzka odbyła się błyskawicznie. Kilka matek pogubiło dzieci. Dziesiątki jeńców musiało się rozstać ze świeżo „zareczonymi” przyjacielkami. Rozdrażnieni przeciskałi się przez różnojęzyczny tłum w poszukiwaniu szybkiej rekompensaty. W hali panował zgłęb i zaduch. W jednym rogu gromada dziewcząt z żółto-fioletowym „P” na piersiach intonowała „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. W drugim zaś przeżyli się w boleściach zatruci alkoholem. Znowu kilku oślepiło, wyrzucając z gardeł strugi fioletowego płynu. Chorzy na biegunkę wypróżniali się gdzie popadło. Odpychano ich pięściami. Niektórzy, jak sparaliżowani, tkwili we własnym kale.

Jedynie młodzież była oczarowana nowym miejscem pobytu. Czereda wyrostków z krzykiem radości obsiadła gimnastyczne przyrządy. Do upiórków podobni malcy piekli się na liny. Wdrapywali się na szwedzkie drabinki. Kołysali się z chichotem na trapezach. Tuż nad głowami rżących w agonii. Nawet wtedy nie przerwali zabawy, kiedy jeden z nich, wesoły, rozkrzyczany chłopak, przecenił siłę wiotkian mięśni i runął spod sufitu między kupę starego żelastwa. Zanim skończył, wyl przez kilka minut przeraźliwie, dopóki mu Włosi nie omotali głowy kocem.

Z nadejściem nocy jęki zatrutych wzmożyły się, a o północy gromada rozbawionych jeńców wdarła się między śpiące Polki i Ukrainki. Słychać było krótkie szamotanie, trochę urywanego krzyku, trochę przekleństw, śmiechu, placzu i pisku. Po czym legli i dyszelili razem. Popląnani, skłębieni, pogodzeni. Przykrzyli żabowanymi koldrami i dywanikami, pod baldachimem porozwieszanych kozuchów...

Nieprzytomna to była noc. Za murami słychać było nieustanny warkot motorów na szosie, dalekie dudnienie armat za horyzontem i ściszony pomruk nieba. W hali zaś, spowitej w dym papierosowy i duszący ludzkie wyziewy, ucho chwyciło przejmujący jęk chorych, skomlenie o wodę, pijackie chrapania muzyków, senne dumki mrużane po kątach, głośne cmokanie i piski pod koldrami, zduszony miłosny szep, gardłowe sapanie mężczyźni. Od czasu do czasu któraś z dziewcząt wybuchła histerycznym śmiechem lub płaczem. Raz po raz dochodziło do sprzeczki przy zmianie partnerów. Chorzy na biegunkę zanieczyszczali powietrze. Zatrueci charczeli. Około trzeciej jeden z Włochów dostał białej gorączki. Miauczał, szczeekał, skowyczał. Gryzł sobie palce do krwi. Człogał się po leżących. Bił głową o ścianę. Wreszcie dzielony przez zaspanego molojca pięścią, padł pod kaloryfer, z czerwona pianą na ustach.

W słabym świetle świtania koczowisko wyglądało jak pole bitwy. Setki spoconych, cuchnących, sklejonych ze sobą ciał, spiętrzonych w jeden olbrzymi kłęb. Mężczyźni w podartych koszulach, rozchełstanych na wklęgnięciu piersi, w niedopiętych spodniach, w przetrzartych przez pot w onucach. Twarze bursztynowe, złożone z oczodolów i ostrych kości policzkowych. Kobiety bez śladu krwi w twarzy z otwartymi ustami, półprzytomne z wyczerpania, porozwalane na legowiskach jak ubita zwierzyna. Tu sine, wychudzone do kości nogi dziewczęce w zdobytach kaloszach z czerwonej gumy. Tam szczerze główki dziecięce z malpim grymasem dziko zacisniętych ust. Opodal ciała

* Fragmenty rozdziału IX książki młodego pisarza przebywającego na emigracji. Rzecz dzieje się w r. 1945 w obozie w Fapenburgu.

Zielony album

IRENA PARADOWSKA

To było moje najmilsze zajęcie. Zdjęć z fortepianu zielony album, odwrócić pluszową okładkę, potem całą dłoń przesuwać po lśniącym forsacu z białej mory — jeszcze raz odwrócić.

Pierwsza stronica: — Portret prababki. Poważna matrona o rysach surowych, w czarnym staniku, zapiętym wysocko pod szyją, z koroną grubych warokczy na głowie. Obok moja babka. Tak samo uczesana, tylko z kokieteryjną grzywką spadającą do połowy czoła. W aksaminowym staniku bardzo śmiało wykrojony dekolt. Na szyi złoty medalion. Piękna kobieta, jak z portretu Renoira. Na dole fotografia pradiadka. Matka powiedziała kiedyś:

„Zaprowadzę cię jutro na rynek i pokażę domy, które wybudował mój dziadek. A teraz przypatrz mu się. Widzisz jakie ładne ma oczy? To był zany człowiek i bardzo napracował się w życiu. To co pozostawił po sobie, to nie wspaniałe gmachy, ale mocne mury mieszkalne, które przetrwały wiele lat. Był cichy i spokojny człowiek. Rano zmywał modlitwę, wkładał swój czarny surdut i wypijał mocną kawę. Jej zapach roznosił się po całym domu, kiedy się ją paliło na blacie kuchennym, tak samo, jak teraz pani Targowska u twego dziadka to robi”.

Uśmiechnęłam się, bo bardzo lubiłam ten zapach i mocno musiał się w mojej pamięci zapisać, skoro osobie już dorosłej skojarzył się z drugim zapachem w tak osobliwy sposób.

Wracając z jakiegoś spaceru, przechodziłam koło małego domku z ogródkiem — i nie pamiętam, czy najpierw ogarnęło mnie wspomnienie, czy najpierw poczułam ten silny zapach. Przystanąłam. Zapach kwiatów, ale jakich? Odetchnęłam głęboko i zanim odwróciłam się, żeby spojrzeć przez sztachety małego ogródka, w którym rosły rzędy liliowych floksów, takich samych jak u mojego dziadka, poczułam mocną woń palonej kawy, która jakby zadymioną smugą przeleciała przez wąską ścieżkę, na której stałam.

Palcem wodziłam po żółtej, wyblakłej fotografii mojej babki. Wiedziałam. W tych pięknych oczach w pewnym momencie zamarał świat. Moja matka miała wówczas sześć lat.

„Stało się to nagle, któregoś dnia i w domu naszym nastał mrok. Z początku obie myliłyśmy się.

Obmyj, Niusiu, rączki, prędko, a za chwilę:

Pokaż czy są czyste?”

Przybiegłam — pokazałam — cisza, straszna, przeraźliwa cisza. W lecie kała matka dla mnie szyć białe sukienki. Białe, białe to wiem — to pamiętam! Biedna moja matka! Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby zająrzeć w jej smutne dzieciństwo.

W zielonym albumie było mnóstwo ciotek i wujów, kuzynów bliższych i dalekich zaklętych w tym jednym momencie. W momencie uroczystym. Zaręczyny, ceremonia ślubna. Były też portrety w sławnych kurortach. Każdy portret miał osobną historię. Uwodzicielsko piękne kobiety, jak czarownica legendarna Lola, która czarowała cały Lwów. Brzydkie, zasuszone w staropanieństwie, które widły nawet na obrazku. Było mnóstwo pomyłek, komplikacji. Świetnie zapowiadające się postaci w wieku młodzieńczym, a potem zmarnowane żywoty z takich lub innych powodów. Potem następowały jeszcze zdjęcia tych ciotek, babek i wujów z okresu ich dzieciństwa. Grube nianki i mamki trzymały ich na kolanach i one miały życie pełne przygód, ktoś je uwodził, potem porzucał, ale były też szczęśliwe Kasi i Marysie, które za mąż powychodziły i dobrze im się wiodło.

Gdzieś mniej więcej w drugiej połowie albumu była Kazia.

Czarująca, tajemnicza postać, w głębi mojego wczesnego dzieciństwa. Cóż o niej wówczas wiedziałam? Zdawało mi się, że jest jedną z tych dwunastu dobrych wróżek zaproszonych na bal do króla, żeby obdarzyć jego córkę jedną z przyrodzonych im cnót.

Stała oparta o okrągły stolicek, w szerokim kapeluszu z białym futerkiem. Spod aksaminowego żakietu wychylał się biały żabot, spięty przy szyi broszką w kształcie czterolistnej koniczyny. Tak sobie ją zapamiętałam. Z tą liliową broszką, z którą się nigdy nie rozstawała. Mówiła, że to jej jedyna pamiątka po matce, po tamtym życiu, do którego już nie ma powrotu. Dotykała swoimi ślicznymi palcami tego ubożego klejnociku i lzy miała w oczach. Smutek Kazi jest osobną nutą mego dzieciństwa. Jego melodia nie dałaby się odtworzyć w jakiejś rzewnej piosence, ale ileż to razy zdarzyło mi się odnaleźć go w barwach zachodzącego słońca, we frazie muzycznej jakiegoś ukochanego utworu, wreszcie w sobie samej. Ponieważ nie znalazłam przyczyny jej smutku, w duszy dziecka, jakim byłam wówczas, rósł jakiś bunt przeciw nieznanemu przyczynie. Odpowiedzi matki były wymijające. Dorosli często popełniają ten błąd, lekceważąc wyobraźnię i myśl kojarzenia, czasem bardzo silnie u dzieci rozwiniętą.

Wiecznie były jakieś narady, szepty —kiedy kazano mi z pokoju wychodzić,

wiedziałam, że to dotyczy Jego! To był jakiś On, który był wszystkim wieniem! Ten, o którym matka mówiła, że „nie jest wart, że ziemia święta go nosi”.

Kazia mieszkała daleko za miastem. Dom był stary, odrapany, schody wąskie, kręte, szło się długo, długo, w głowie mi się kręciło, jak na huśtawce. Wreszcie drzwi się otwierają. Pośrodku manekin zawieszony zieloną płachtą, obok maszyna do szycia. W kącie żelazne łóżko, przykryte wiśniową kapą. Nad łóżkiem obraz. Jeszcze dziś mam w pamięci tę scenę, kiedy przyniesiono do nas dużą paczkę bardzo starannie opakowaną. Matka gorączkowo przecina sznury, odrzuca papiery, wydobywa obraz i podaje go ojcu ze słowami:

„Taki talent! A hajdak!”

A teraz wisi nad tym ubogim, żelaznym łóżkiem przykrytym wiśniową kapą.

Paryż w nocy! Mokry, deszczowy Paryż z gazowymi latarniami, dorożka ze spuszczoną budą. Pod szerokimi parasolami kilka skulonych postaci. Byłam potem wiele razy w tym mieście, zawsze jestem pod jego wielkim urokiem, ale tej rozkosznej aury, jaka mnie owionęła z ram tego obrazu przed rokiem 1914, nie udało mi się już nigdy odnaleźć w późniejszym Paryżu.

Pośrodku manekin zawieszony zieloną płachtą, obok maszyna do szycia. Kazia nacyloną nad stołem, obwieszona białymi nićmi. Włosy jak ciemny bukiet spadają na czoło! Białe ręce matki z czułością odgarniają te ciemne pukle — obejmują jej wiotką postać. Słychać głębokie westchnienie, szloch. Patrzę w manekin. Biorę krzesiśko, wspieram się na palcach. W miejscu, w którym powinna być głowa, rysuję w powietrzu koło, potem oczy, usta. Ręka mi drży z nienawiści, rośnie we mnie bunt przeciw nieznanemu przyczynie, zrywam zieloną płachtę i walę pięściami w ten złudny kształt ludzki. Matka się zrywa i Kazia, leca do mnie przerażone, ale ja ich nie słucham, jeszcze ostatni wysiłek i z hukiem pada manekin na ziemię.

Dopiero po latach, kiedy już byłam dorosłą, mogłam mojej matce wyjaśnić tę scenę. Siedziałyśmy obie nacylonie nad zielonym albumem. Matka sięgnęła po portret Kazi.

„Nie wyobrażasz sobie, moja droga, jak ciężką walkę musiałam stoczyć z

całym światem, żeby stworzyć jakąś minimalną egzystencję tej biednej istocie. Wszystko było problemem, kwestią jakiegoś pokoju, zameldowania, wszędzie robiono przeszkody. Moi znajomi odsunęli się ode mnie. Uważali mnie za kobietę postępową, a jakiego rodzaju w pewnych środowiskach to pojęcie budziło zastrzeżenia, z tego nie możesz sobie dzisiaj zdawać sprawy.

A najbardziej zatrula mi życie ciocia Klara. Cnotliwa ciocia Klara. Nigdy nie myślałam, że można za swoją cnotę tak się mścić na całym otoczeniu.”

Ciocia Klara! Ciocia Klara! W albumie stała obok grubego wuja Alfreda, w długim, aż daleko na ziemię spadającym welonie, cienka w pasie, jeszcze bardziej zwężona sznurówką, w obcisłej jedwabnej przince. Mój ojciec często mówił: „Dla cioci Klary rodzą się i umierają ludzie.” Była to aluzja do zawodu wuja Alfreda, którego specjalnością była ginekologia, ale na prowincji w miasteczku powiatowym spełniał on rolę tak zwanego omnibusu. Ta wszechstronność ogromnie pomnażała jego dochody, które ciocia Klara ze szczególnym talentem zamieniała na drogocenną biżuterię, toalety z Wiednia czy Paryża. Lata całe szumiało mi w uszach.

„Brabanckie koronki cioci Klary, plerezy, gipiury, butony, szmaragdy cioci Klary! Z olbrzymiej torby ze skóry krokodyla, wyciągała etui z szyldkretu, pince-nez i lusterko szyldkretowe. Ręce miała liliowe, a na długich palcach pierścienie wysadzone drogocennymi kamieniami. Jak u tych pierścieni na palcach, tak w oczy wstawione były dwa szafiry, oprawne w gęstą koronkę rzęs. Te rzęsy, ruchome jak u lalki, powoli podnosiły się w górę i opadały w dół.

Kapała się we wszystkich kurortach europejskich i znała wszystkie skandale światowe. Ciocia Klara! Wiedziała wszystko. Jaki bank zrobił plajtę, kto i z kim się zareczył, komu grozi bankructwo i kogo wzięto pod kuratelę. Jaki dług jest na hipotecę i jaki posag dostanie panna. Dzieci straszono ciocią Klarą. Dorostych straszono ciocią Klarą. Bo kokarda była krzywa, sukienka za krótka albo za długa. Tak się nie dyga, tak się nie tańczy i tak się nie mieszka, i to nie jest w modzie. Są modne princeski a nie turniury, koronki chantillowe, a nie walan-sjenki. W szafirowych oczach cioci Klary każdy był poniekąd skompromitowany. Ten oświadczył się za późno, tamten nie oddał wizyty w przepisanim terminie. Jednych się nie przyjmuje z takich a takich powodów, a innych się zaprasza dla takich a takich powodów. Wszystko było w złym tonie i mnóstwo było faux pas.

(Dokończenie na str. 6)

w kłębek zgięte, już siniejące, i kilka cieni rozkraczonych w wiecznym przysiadzie, skulonych po kątach, przykucniętych w kałuży smrodu.

Przywykłe do wczesnego wstawania dziewczyny od „bauera”, skoro się tylko przejaśniło, wyzwołyły się z objęć śpiących mężczyzn i pozdrowiły dzień wspólną pieśnią: „Kiedy ranne wstają zorze...”

Mogła być szósta nad ranem, gdy Francuzi, Holendrzy, Belgowie, Luksemburczycy i Czesi zostali wywołani na dziedzińce. Po niedługim czasie przeszli na lepsze kwatery. Do pokoi oficerskich w sąsiednim bloku. W odpowiedzi na to zarządzanie reszta koczowników poczęła złorzeczyć Amerykanom i przeklinać dzień wyzwolenia, a mocniejsi ujęli w ręce żelazne sztaby do podnoszenia ciężarów i bili nimi w zamknięte wierzeje.

— My też jesteśmy aliantami — wołali Włosi. Ale wartownicy się nie zjawili.

Czy było dalej? Po południu megafon oznajmił: — Dzisiaj jest niedziela! — Dzisiaj jest niedziela — przeszedł szmer podziwu dokoła.

Megafon wyjaśnił:

— Samochody z kaplicami nadjadą za pół godziny. — Z czym? — dzwili się ludzie. — Z kaplicami?

Po niedługim czasie rzesze wyruszyły za kanał na stadion piłki nożnej „Hitlerjugend”. W czterech nowoczesnych aerodynamicznych samochodach-kaplicach nadjechali kapelani wojskowi: pop, rabin, ksiądz i pastor. Ludzi ogarnęło zdumienie. Czegoś takiego nikt jeszcze nie widział. Samochody stanęły obok siebie, koło w koło. Po otwarciu tylnych drzwi ukazały się ołtarze połowe. Żydówki ustawiły się przed samochodem ze złotą gwiazdą na burcie. Nie miały na sobie jedwabnych szlafroków, o które je pomawiano w gimnastycznej hali. Zaledwie kilka zdołało przebrać. Reszta kuliła się w lachmanach i w szarych więziennych sukniach. W głębi sąsiedniego samochodu złożyły się ikony. Tłumy katolików przyklejły przed ołtarzem Matki Boskiej. Zaczęły się modły. Pienia w kilku językach były nagrane na płyty, ale wnet je zakłószono. Kilkujezyczny śpiew łamał się, urywał i nakładał na siebie jak fale radiowe, aż wreszcie buchnął jeden wielki, nieartykułowany lament wszystkich ludzi. Żydówki przypady do nóg rabina jak fale jeziora do brzegu. Zastygły, chwytając powietrze ustami, wzywając bez krzyku imienia Jego, Adona! który nie

może być przez śmiertelnych nazwany. Polki kładły się krzyżem, prawosławni bili się w piersi, Włosi z krzykiem podnosili ręce do nieba, Kalmucy zawadzili głucho i przeciągle. Przechodzący szosą Niemcy poczęli nieśmiało przystawać na skraj boiska. Na zapraszający gest ręką jednego z oficerów zrazu pojedynczo, potem grupkami zaczęli podchodzić do samochodu pastora. Przez gigantofon huczały organy. Niebo pomrukiwało samolotami. Na pobliskiej szosie płynęły kolumny samochodów. W powietrzu było ciepło i wiosennie. Nad miasteczkiem łopotał drobny wiatr. Nad torfowiskami czerwieniło się słońce dogasającego popołudnia. Kapłani błogosławili rzeszom. Potężny głos wołał na pycie:

— My God... mon Dieu... mein Gott... Hospody, pomytuj... Boże nasz... mio Dio...

A z dachu pobliskiej trybuny grupa operatorów filmowała tę jedyną w swoim rodzaju scenę zbiorową. Kiedy modły i śpiewy przystały, nadano przez gigantofon krótkie kazanie umyślnie przygotowane dla ludzi oswobodzonych przez dowództwo wojsk sprzymierzonych. Drukowany tekst kazania rozdano w ulotkach.

„Alleluja! Pan zwyciężył, a duch nieprawości legł w prochu i w pył. Alleluja! Opady kajdany z rąk sprawiedliwych, a dym ofiarny płynie pod niebo!”

„Oswobodzeni przez zwycięskie wojska sojusznicze, wracacie do wolnych krajów waszych, aby na gruzach tyranii i pokonanego zła budować nowe lepsze życie.”

„Panie, któryś rozkuł okowy nasze i wyprowadził mnożące tysiące z domu niewoli i płaczu na światło wolności, spójrż z wysokości na biedną ziemię naszą. Panie, któryś cudownie utworzył godność ludzkiej natury, spraw aby na pobożowisku świata odrodziła się wiara w pojednanie i tryumf miłości.”

(Grzegorzczak roześmiał się złym, psim warknięciem. Kilka ulotek zużył potem w chozowej latrynie: tak gładkiego papieru nie widziano w Papenburgu od pięciu lat.)

„Błogosław wracającym do stron ojczystych. Błogosław wolnym ludziom w wolnym świecie. Ześlij pokój i sprawiedliwość, abyśmy nie zabijali więcej nieprzyjaciół naszych, ale tworzyli jedną rodzinę świata. Daj nam zawsze kroczyć w pierwszym szeregu budowniczych, odnowicieli, obrońców i wyznawców Sprawiedliwości i Wolności. I doprowadź nas do żywota wiecznego, amen.”

Tadeusz Nowakowski



Formiści i „Firma S. I. Witkiewicz”

(W związku z wystawą w Stołecznym Domu Kultury)

BARBARA BOROWIAK

„...malarstwo nie jest odtworzeniem natury, tylko tworzeniem konstrukcji form na ograniczonych płaszczyznach, czyli że istotą jego jest kompozycja obrazu. Części tej kompozycji muszą się różnić od siebie i dlatego są różnobarwne. Harmonia lub konieczny dysonans (dysharmonia) kolorystyczny jest tym, co nadaje istotne życie kompozycji i potęguje jej jednolitość, bo jedność w wielkości...” — pisał Stanisław Ignacy Witkiewicz.¹⁾

Sformułowane w ten sposób przez Witkiewicza²⁾ credo artystyczne było ściśle powiązane z teoretycznymi założeniami grupy formistów, z którymi złączył się młody Witkiewicz więzią ideowo-artystyczną już w 1917 r.

Tendencje formistyczne jako protest przeciwko rozluźnieniu formy przez impresjonizm zaczęły kiełkować w umysłach młodego pokolenia artystów w okresie I wojny światowej. W 1917 roku tworzy się wokół Tytusa Czyżewskiego i Zbigniewa Pronaszki grupa sympatyków nowego kierunku w sztuce, przybierając nazwę „Polskich Ekspresjonistów”. Z końcem owego roku do grona ekspresjonistów włączają się prócz Stanisława Ignacego Witkiewicza także indywidualności jak Leon Chwistek, Jan Hrynkowski, Jacek Mierzejewski, Tymon Niesiołowski, Andrzej Pronaszko i August Zamoyński.

W trzy lata później odzew daje Warszawa, w cztery lata — Lwów. W ośrodkach tych powstają pierwsze wystawy awangardy artystycznej, aby następnie zrobić przerzuty na Poznań, a stąd — do Wiednia i Paryża. Wystawy owe wywoływały szerokie echa wśród publiczności; zainteresowanie nimi łączono z żywym oburzeniem, rzadziej — z aprobatą.

Ekspresjonizm polski, który w 1919 r. przyjął nazwę formizmu, był naturalną konsekwencją i zarazem zaprzeczeniem poprzedniego w sztuce kierunku — impresjonizmu. Impresjoniści lekceważyli logikę konstrukcji obrazu, kładli akcent na kolor, oddawali światło, słońce, drgającą atmosferę — jednym słowem: utrwalali w obrazach fragmenty widzialnej w przelocie rzeczywistości. A przy

¹⁾ Stanisław Ignacy Witkiewicz: Szkice estetyczne, Kraków 1922.

²⁾ Ur. w 1885 r. w Warszawie, zm. w 1939 r. we wrześniu (popelniał samobójstwo w lasach pod Chełmem na wieść o klęsce narodu).

tym impresjoniści ową metodę twórczą wiązali w nierozdzielnej całość z treściami społeczno-narodowymi.

Bunt ekspresjonistów przeciwko ustalonym poglądom na sztukę początkowo był odruchowy, nie poparty własnym pozytywnym programem artystycznym. Zanim odnaleźli swą drogę twórczą, sięgali po wzory do ekspresjonizmu niemieckiego i rosyjskiego. Dopiero odkrycie Cezanne'a, dla którego istotną wartość w sztuce stanowiła konstrukcja i rytmika linii, pozwoliło im określić własną postawę wobec zagadnień artystycznych. Forma, „czysta forma” stała się ich bożyszczem, celem samym w sobie, tak dalece, iż unikali wprowadzania do swych obrazów elementów, które rozbiłyby formę, bądź działałyby destrukcyjnie na jej organiczną budowę. Nie wprowadzano do obrazów żadnych zjawisk atmosferycznych i świetlnych, akcentując wyłącznie kształt i konstrukcję obrazu, którym wszystkie inne wartości były podporządkowane lub wręcz wyeliminowane z obrazu jako coś przypadkowego, nieistotnego.

W rozumieniu formistów forma artystyczna nie przedstawia dosłownie przedmiotu rzeczywistego, lecz jest jego symbolem, symbolem ujętym syntetycznie, potraktowanym jak najbardziej tektonicznie i organicznie powiązanym z całością konstrukcyjną obrazu.

Mimo to formiści polscy, którzy wyszli z tych samych podstawowych założeń sztuki Cezanne'a co i kubiści, nie wyzwolili się tak zdecydowanie spod wpływów impresjonizmu, jak ich francuscy pobratymcy. Zachowali z impresjonizmu zamiłowanie do malowniczości, do stosowania nasyconych, żywych płam barwnych, które nierazdo zestawiali w zaskakujących, ryzykownych kontrastach. W ostatecznej konsekwencji sztuka formistów była negacją realizmu i czerpania wzorów z otaczającej nas rzeczywistości.

Stanisław Ignacy Witkiewicz był gorącym zwolennikiem i propagatorem formistycznych idei od początku istnienia ugrupowania. Walkę o nowoczesność w sztuce pojmował jako walkę o nową formę, o „czystą formę” rozumianą jako absolut wystarczający sam przez się za cel.

Na obrazy Witkiewicza z tego okresu, przesycone bogatą kolorystyką, składają się najczęściej barwne, jaskrawe

smugi i wstęgi o węzłowych, niespokojnie wijących się ruchach, pełnych wibracji i falowań. Spośród fantastycznego kłębowiska wstęg i linii wylaniają się tu i ówdzie pojedyncze elementy światła realnego w nie mniej fantastycznej interpretacji. Jednym z przykładów praktycznej realizacji jego formistycznych założeń jest obraz „Rąbanie lasu” z 1920 r. Postać drwala, zaplątana w węzłowisku barwnych, ruchliwych smug, jest niejako uwięziona i zagubiona wśród nich, stanowi nierozdzielną, równorzędną z nimi całość. Tylko sekatą ręką wznoszącą w górę topór przywodzi na myśl realnie istniejący świat, o którego zresztą odtworzenie artysta wcale się nie kusił.

Szereg jego kompozycji malarskich obracających się w świecie imaginacji i tworzonych przy pomocy nerwowych, gwałtownych pociągnięć pędzla oddala go coraz bardziej od świata realnego, dając mu złudzenie osiągnięcia „czystej formy”.

W 1922 roku Witkacy przeżywa boleśnie rozpad grupy krakowskich formistów, spowodowany nagonką na łamach prasy, która obrzucała formistów stekiem wywisk, oszczerstw i kpin. Swoje eksperymentowanie jednak w zakresie formy porzucił rozczarowany do sztuki Witkiewicz dopiero w 1926 r., wyrzekając się na zawsze nadziei osiągnięcia „czystej formy”. Cały swój intelekt i bogaty kapitał uczuć lokuje w twórczości dramatycznej i filozofii. Z malarstwa pozostawia sobie jedynie uprawianie portretu, traktując je jako źródło zarobku i podstawę utrzymania.

Wystawa „100 portretów firmy S. I. Witkiewicz”, zorganizowana w Stołecznym Domu Kultury przy ul. Elekoralnej, dała szeroki, choć niepełny przegląd jego dorobku artystycznego z ostatniej fazy twórczości — fazy portretowej.

W świetle zgromadzonych tutaj prac Witkiewicz ukazuje się nam jako oryginalny, dziwny niemal o niesłychanie bujnym, krewkim temperamentie i wielkiej rzutkości pomysłów. Przeważają portrety wykonane szkicowo, kilku szybkimi, nerwowymi pociągnięciami węgla, kredki, ołówka, czy pastelu, a częściej jeszcze — przy pomocy wszystkich technik naraz. Czuje się nieledwie, że powstawały pod wpływem chwilowego wrażenia, krótkiego przeblysku myśli w momencie bezpośredniego obcowania z twarzą ludzką. Portrety mimo woli przywodzą nam myśl, że artysta niejednokrotnie kpił ze swych modeli — bez względu na to, czy tworzył tzw. portret obiektywny, charakterystyczny, psychologiczny, czy

DEBIUT

ANDRZEJ STANISŁAW
BIEŃ

Preludium samotności

na podwórkach rzepołą podróżni
skrzypkowie
na twarzach zakurzonych noce
zapomniane
fiołkowym kwiatkiem żalu

patrz
niebo kapie fioletem zmierzchu
ono za chwilę zrobi się gęste
spadnie
i będzie można je gryźć

niebo fioletem zmierzchu
drzewa zielono wiosna
powiało melancholią
i noce powróciły
a pierwsza była biała
zasypana śnieżnym smutkiem

dotknęła lekko koniuszkami gwiazd
księżyc na dłonie przemieniając
narosła w rozmazanych łzach
i nagle
wybuchły świąty promieniami sronu

piersi o świecie są najpiękniejsze

patrz
gwiazdy zakwitają na fiołkowym
półmisku
w moim pokoju pachnie czeremchą
dlaczego nie chcę kwitnienia kasztanów
czy moja wiosna rosła styczniem

noc sypie popiół szarogwiazdny
rano ktoś będzie śpiewał zieleń
ona się żółci tak jak jesień
a potem wszystko będzie dymem
uleci z pięciolinią grajków
zostaną noce zagubione
fiołkowym kwiatkiem żalu

też „wylizany”, które to typy i rodzaje określił i ustalił w swym dziwnym „Regulaminie firmy portretowej S. I. Witkiewicz”.

Szybkość wykonywania portretów dyktowała pomijanie szczegółów i niedopracowanie całości; nie stało to jednak na przeszkodzie do wydobycia (Dokończenie na str. 7)

Zielony album

(Dokończenie ze str. 5)

A wszystkiemu winna była Kinderstube! Kinderstube!

Siedząc w głębokich fotelach pluszowych, przemierzała ciocia Klara wielkie szlaki dróg ludzkich, po czym się cofała do onej Kinderstube, w której robiła generalny porządek, obrzucając tym pyłem głowy rodziców i wychowawców nieszczęśliwych dzieci.

„A najbardziej zatrula mi życie ciocia Klara! Przyszła któregoś dnia i powiada: „Moja droga Franiu, nie dźw się, jeśli twój salon któregoś dnia opustoszeje kompletnie. Mówią, że zadajesz się z kobietą upadłą. Radca Repalski widział ciebie w niedzielę w samo południe na korsie w jej towarzystwie. Mecenasaowa Lipczyńska wyraziła się mniej więcej tak:

— Nie możemy narażać naszych córek na takie znajomości, kto wie, może ta osoba zostanie nam przedstawiona w salonie, moja noga w tym domu nie poстанie. Odpowiedziałam wówczas cioci, że nigdy sobie nie wyobrażałam, że w tak łatwy sposób pozbędę się tej wulgarniejszej kobiety, której burzliwa przeszłość nie jest dla nikogo tajemnicą.

Przy każdej sposobności dokuczała mi ciocia całym stekiem frazesów o opinii publicznej, formach towarzyskich i podobnych bredni. Aż w końcu już miałam dość tego wszystkiego i powiedziałam, żeby się nie wtrącała w moje sprawy, bo to nie odniesie żadnego skutku, ponieważ i tak zawsze robiłam co mi się uważało za słusne, więc

i w takim wypadku nie mnie nie powstrzyma od przyjaźni i opieki nad nieszczęśliwą istotą, którą wszyscy opuścili, a która spodziewa się dziecka.

— Wyobrażasz sobie chyba łatwo — mówiła moja matka — z jakim oburzeniem ciocia przyjęła moje słowa.

Mój Boże! Czy sobie wyobrażam? Widzę doskonale tę scenę. Widzę ją ze wszystkimi szczegółami. Nawet mały czarnymi dżetami obsyty wachlarzyk mam przed oczyma, którym ciocia Klara gasi wypieki na twarzy.

Największym sprzymierzeńcem mojej matki był jej brat, przeze mnie wujpanie dzieju przewzany.

„Nic sobie nie rób, panie dzieju, z tej głupiej ludzkiej gadaniny i rób swoje, panie dzieju”.

Wuj zjawiał się w sobotę po południu, po odbytej służbie, również z miasteczka powiatowego, oddalonego o trzy mile od Lwowa, żeby się trochę w mieście, panie dzieju, rozerwać.

Z zielonego albumu pamiętam go w mundurze urzędnika monarchii austriacko-węgierskiej. Zdjęcie było zrobione w kilka dni po awansie, który ozdobił go złotym kołnierzem. Wydarzenie to było uczczone wspaniałym przyjęciem u wujostwa, gdzie księdzu proboszczowi w pewnym momencie powinęła się ręka i wylał spory kielich wiśniowej polewki na etolę szynszylową cioci Klary.

„Biedny księżulo — mówił potem mój ojciec — tak się speszył tym faktem, że przegrał wszystkie partie wista, co mu się prawie nigdy nie zdarzyło”.

Z zielonego albumu nikt już nie żyje. W każdym razie nikt z tu wymienionych postaci. Ostatnią dość już wyblakłą fotografię mojej matki, kiedy była młodą dziewczyną, w białej sukni, z wielkimi bufiastymi rękawami, w słomkowym kapelusiku z kwiatkami, straciłam w czasie działań wojennych.

Irena Parandowska



Wielkie podzwonne mitom

(Dokończenie ze str. 2)

tyżających społecznych i psychicznych, która stęga do najintymniejszego rdzenia przedstawianych bohaterów i zdarzeń, by spod nawarstwień sloganów, superlatywów i kalumni — trzech zasadniczych elementów języka codzienności — wydobyć ideowe pryncypium wielkiej literatury wszystkich czasów: prawdę — wypowiedzianą zgodnie z najlepszą wiedzą i wolą artysty. Realizm kształtujący nie tylko faktograficzne, lecz i emocjonalne, liryczne elementy „Komu bije dzwon” wywodzi się bowiem u Hemingwaya z despotycznie władającego nim pasji moralisty, myśliciela, który burzy wszelkie mity i złudzenia nie po to, by na końcu owego destrukcyjnego proceduru postawić znak równości między zasadami rządzącymi społecznością ludzką a prawami dżungli, lecz by oczyścić teren pod zweryfikowaną empirią wiedzę o człowieku i metodach wychowania go na prawowitego, nie samozwańczego, władcę świata.

I z tego względu za najbardziej zasadniczy dla wymowy „Komu bije dzwon”, jako znakomitego, dwudziestowiecznego moralisty, uważam niewielki ułamek (uchodzący zazwyczaj uważnie czytelników) rozmowy między Hemingwayowskim *porte-parole* Robertem Jordanem, a jego współtowarzyszem walki Primitivem, mającej za temat największego ze współczesnych wrogów twardej, lecz krzepiącej w swej uczciwości prawdy o człowieku — faszyzm:

— Jest wielu takich, co sami nie wiedzą, że są faszystami, ale odkrywają to, jak przyjdzie czas.

— A nie możecie ich zniszczyć, zanim się zbuntują?

— Nie — odparł Robert Jordan. — Zniszczyć ich nie możemy. Ale możemy wychowywać ludzi tak, żeby lękali się faszyzmu i potrafili rozpoznać go i zwalczyć, kiedy podniesie głowę.

Tak Hemingway streścił główny, choć najgłębiej ukryty sens owej książki, na której początku nie na darmo widnieją ostrzegawcze słowa: *Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon, bije on tobie.*

Zbigniew Pędziński

Formiści i „Firma S.I. Witkiewicz”

(Dokończenie ze str. 6)

najbardziej charakterystycznych cech fizjonomii ludzkiej. Portrety Witkacego odznaczają się głębokim ujęciem psychologicznym. Bezceremonialnie demaskują modela, odsłaniając najtajniejsze pokłady jego duszy, czy to przy pomocy złośliwej karykatury, humoru, czy wyrozumiałej pobłażliwości. Artysta kilku pociągnięciami kredki lub węgla ujawnia niespodzianie dla samego modela jego charakter, określając go zwięźle w jednym spojrzeniu, uśmiechu, wykrzywieniu ust czy zmarszczeniu brwi.

Najlepsze są chyba jego portrety w interpretacji karykaturalnej i demonicznej, pełne sarkazmu i pasji zarazem, tworzone przeważnie pod wpływem intensywnego zażywania alkoholu i narkotyków. Do tej kategorii można by zaliczyć portret pułkownika Boralna, ujęty en face, i portret dra Teodora Białynickiego — o głowie zwróconej do widza w trzech czwartych. Głowy portretowanych mężczyzn potraktował artysta wycinkowo, skupiając uwagę wyłącznie na mimice i indywidualnych rysach twarzy.

Pod względem kolorystycznym portrety Witkacego zaskakują różnorodnością, śmiałościami, ryzykownymi zestawieniami kolorów, często nie znajdujących uzasadnienia w rzeczywistości. Owa barwna mozaika linii i smug potęguje ekspresję twarzy, nadając jej wyraz zgola nieoczekiwany. Artysta przy tym naturalne tło barwnego kartonu, którego nie zamalował, wykorzystuje na korzyść skóry. W ten sposób twarze, otrzymując odcień niebieski, zielony, czerwony, żółty, fioletowy, beżowy, bordo lub seledynowy, co podkreśla ich swoistą niezwykłość i harmonizuje z ich psychologiczną charakterystyką.

Z periodyków — na wyrwywki

Z NANE to powszechnie prawo psychofizyczne, że wzrastanie temperatury polemik pryncypialnych jest odwrotnie proporcjonalne do wzrostu ciepłoty powietrza. Zgodnie z tym prawem czasopisma literackie zawsze stygną w lipcu, stają się letnie, nawet pokojowe. A więc, amatorzy *Schadenfreude*, próżno myszkujeć dziś po szpaltach, mizerny będzie plon: nikt tu niktom nie przypina łatki, nie wbija szpilki, nikt nikogo nie odsądza od czci i wiary — prawie nikt. Co prawda nie wkroczyliśmy jeszcze w okres kanikuły, ale czy wyprzedzanie okresów nie jest obowiązkiem piśmiennictwa periodycznego? Nawet spierający się o lokalizację teatru Skuszanki już przycichli i raczej jak epilog waśni brzmi podana przez prasę i radio wiadomość o wyjeździe teatru nowohuckiego do Paryża, na występy w „Teatrze Narodów”. I cóż na to Jaszczyk? Ktoś powie: „Aha!” kto inny: „Trudno, vis major...”

Nie brak jednakże w ostatnich numerach periodyków literackich pozycji noszących w sobie zarzewie możliwych sporów. W nr-ze 27 „Nowej Kultury” przykuwa do siebie uwagę „Non omnis moriar” Marii Dąbrowskiej, rzecz poświęcona Edwardowi Abramowskiemu w czterdziestą rocznicę jego śmierci, której pamięć uczczono wieczorem w „Klubie Krzywego Koła”. Przed kilku laty teorii socjalizmu bezpieczeństwa stawianej przez wybitnego socjologa i filozofa zarzucono „przeskakiwanie etapów”. Maria Dąbrowska przypomina, że —

przeskakiwanie etapów myśla teoretyka, wysiłkiem eksperymentatora czy marzeniem poety nie jest nigdy cechą mierności, lecz zawsze cechą geniuszu twórczego. Znamiona tego niecierpliwego geniuszu ożywiają myśl społeczną Abramowskiego w takim stopniu, że warto do niej powracać bez względu na to, czy może albo nie może być przydatna do praktycznej realizacji (...)

Abramowski odszedł od klasycznego marksizmu, lecz zanim odszedł, był na swój czas jego twórczym, oryginalnym i bardzo polskim interpretatorem (...)

W ocenie Marii Dąbrowskiej klasyczny marksizm znajdą *passus*, który chyba pobudzi ich do zabrania głosu:

Teoria socjalizmu bezpieczeństwa jest z punktu widzenia klasycznego marksizmu balamutnym przeskakowaniem etapów. Ale na drodze, w którą weszła za sprawą Abramowskiego, nie jest ani tym, ani utopią bez widoków. Abramowski znajdował bowiem dla jej realizacji praktyczne widoki w rozwoju społeczeństwa, której był w Polsce jedynym oryginalnym nie zaś naśladowczym tylko teoretykiem. Te rzeczy należałoby na nowo przebadać, należałoby może zwrócić uwagę na to, w jakim stopniu brak własnego państwa kierował myśl Abramowskiego (podobnie jak myśl pisarską Prusa) ku rozwiązaniu spraw życia publicznego na drodze organizacji pozapaństwowych.

Próbą zasygnalizowania marazmu wykraczającego poza normalną kanikulę są w tymże numerze „Nowej Kultury” rozważania KTT pt. „Lęki wieczorne”. Pisze autor:

Podjeżdżam, że cała problematyka sztuki i kultury współczesnej obraca się dookoła lęku przed zaskoczeniem, dając najrozmaitsze rady i wskazówki, jak uniknąć zaskazki lub jak się wobec niej zachować. Odpowiedzi na to zasadnicze pytanie stawiają dziś cztery i linie graniczne postaw, stylów i światopoglądów (...)

Postawą najprostszą i dziś najmłodniejszą jest *ascuroowanie* się zawczasu dzięki filozofii *bezsensu* i *absurdu*. Świat, życie jest sumą słownych nonsensów, najgłupsze ewentualności są najprawdopodobniejsze, najgorsze przewidywania nie są w stanie być tak złe, jak (sic!) okazuje się przyszłość (...). Nic nie jest w

Ta krótka relacja z wystawy portretów Witkiewicza nie wyczerpuje całości zagadnień związanych z wystawionymi eksponatami. Materiał jest zbyt bogaty i zbyt zróżnicowany, aby opis jego i charakterystyka dały się zamknąć w kilku zdaniach.

Barbara Borowiak

stanie nas ośmieszyć i zaskoczyć — nie nas jako zbiorowości, broniącą swoich interesów i domagającą sięładu, lecz „nas” jako jednostki walczącej o wewnętrzzną równowagę i godność.

Cytata jest już przydługa, lecz trudno urwać w tak interesującym miejscu. Więc — dalej. KTT charakteryzuje z kolei drugą postawę:

Dzieli się tu rzeczywistość na dwa przeciwstawne rejony — na sferę wartości i sferę sytuacji. Wartością jest twórczość, sytuacją jest życie, z jego wszystkimi zakrętami i niespodziankami. Cóż nas mogą obchodzić zmienne sytuacje wobec nieprzemijających wartości, które gromadzi sztuka, nauka, technika na usługach człowieka. Dobry wiersz przetrwa koniunkturę, most jest ważniejszy od wstępnego artykułu w gazecie, rękopis, nawet złożony w szufladzie, znajdzie w końcu swojego czytelnika.

„Pobrzmiwają tu echa nowego pozytywizmu” — stwierdza KTT (o neopozytywizmie przebąkuje się już tu i ówdzie), dodając, że dostępny on jest jednak tylko dla naukowców i techników. „Inteligencja humanistyczna i twórcza nie może się w nim odnaleźć. Mit o szufladach, do których składa się teksty, przysnął w chwili, gdy można było szuflady otworzyć. Okazało się, że nic w nich nie było. Co gorsza — być nie mogło.” Dlaczego? Tu już otrzymujemy dawkę osobistego pesymizmu autora rozważań, który nie widzi dla powstającej twórczości nawet wyimaginowanego cienia odbiorcy. Albowiem jakie oblicze przyszłego odbiorcy maluje wyobraźnia społecznego artysty? „Pokracznie kształty dźwola, narodzonego pod działaniem promieni radioaktywnych? Czy rozemiane spojrzenie wyzwolonego człowieka?”

To dlatego — konkluduje KTT — nikt nie pisał i nie pisze do szuflady i żadnego sensu nie może posiadać rozgraniczenie pomiędzy wartością a sytuacją. „Bo dla powstania wartości niezbędna jest odpowiednia sytuacja”. (Mój Boże, któż by nie pragnął właściwej sytuacji, ale historia nasza roi się od nieodpowiednich sytuacji, w których jednak powstawały wielkie wartości.)

Słowem i tak źle, i tak niedobrze. Lecz jest jeszcze ewentualność trzecia, „zatrważająca stara”: „nie dać się zaskoczyć, to znaczy zapanować nad sytuacją, ogarnąć ją i okiełznać”.

W jaki sposób? Na to otrzymujemy odpowiedź: „Ba!”

Takie oto są dogodności „mowy umownej” (której apoloję wygłasza Kisiel w numerze 27 „Tygodnika Powszechnego”). Można mówić jawne ogólniki, nadając im pozory godnego i głębokiego myślenia.

Ale sam Kisiel nigdy nie nadużywał w tym celu mowy umownej, ma bowiem stale coś konkretnego do powiedzenia. W danym wypadku, w „felietonie hermetycznym”, chodził mu o zaimponowanie redakcji i czytelnikom paryskiej „Kultury”, „wyższą szkołą jazdy”. Pisze tedy S. Kisielewski:

„Dziękuję natężeniu „Kultury” i w ogóle piśmiennictwa emigracyjnego polega na tym, że podkładają one pod słowo tradycyjne treści, które mogą wyjść poza ten prymitywny już dzisiaj schemat językowo-pojęciowy. Wszystkie polityczne artykuły „Kultury” są nam podawane z triumfem, jako osiągnięcia myślowe, którego twórczą wartość powinniśmy tu w kraju uznać. Autorom nie przychodzi natomiast do głowy, że dla nas są to stare truizmy, bo od dawna jesteśmy już o parę pięt wyżej. Wiemy na pamięć to wszystko, co napisane jest w „Kulturze”, a prócz tego wiemy jeszcze znacznie, znacznie więcej. Tylko że tej nadwyżki nie możemy moim paryskim przyjaciółm przekazać, bo oni za nami nie podążą: nie znają tej mowy, jej skrótów, jej pewników umownych, jej zaplecha uczuciowego, jej uzbrojenia myślowego (...)

Oni, nasi rodacy z zagranicy, jeżdżą lepszymi samochodami, my za to szybciej i precyzyjniej myślimy o polityce. Dlaczego? Bo myślimy w kontekście realności naszego nowego świata, faktów i pojęć, od którego oni są odcięci.

Ejże! Czy istotnie wszyscy posługujący się u nas „mową umowną” myślą

o polityce aż tak precyzyjnie? Czy nie przydałoby się wielu z nich przeszukanie u Juliusza Mieroszewskiego, który (poza niefortunnym, nie obliczonym w mowę umowną, zaleceniem wzorowania się na Dżilasie) często potrafił przecie rozważać bardzo trzeźwo różne sytuacje — zwłaszcza międzynarodowe — może właśnie dlatego, że nie jest „w kontekście”. Zapewne „mowa umowna” to rzecz nader nobliwa, ale ostatecznie nie przydatna w praktyce nie daje. Ot po prostu — też same truizmy, tylko w hermetycznej formie. Niekiedy jest ona zwykłym wyzywaniem się w kręgu wtajemniczonych, niekiedy ewentualnym alibi — na wszelki wypadek („pisałem już w numerze x, że...”). I wreszcie gdzie są granice umowności mowy, jak po niej poznać kto Godny a kto cynik? Zlitujcie się nad niewtajemniczonymi, na obczyźnie i w kraju!

Skoro już się zahaczyło o paryską „Kulturę”, warto zwrócić uwagę na ankietę wydrukowaną w londyńskich „Wiadomościach”, pt. „Pisarze emigracyjni a literatura krajowa”. Najbardziej wyczerpującą odpowiedź daje w numerze 26 Paweł Hostowiec, który pisze, że pierwszym wrażeniem wyniesionym z lektury nowości krajowych jest niezrównana żywotność i ciągiłość literatury polskiej:

Lata tzw. kultu jednostki, lata ucisku i kompromisów, pozostawiły na niej tylko nieznaczne i nie zawsze nawet ujemne ślady (...) Literatura polska zachowała więc swą jedność, nie rozpadła się na krajową i emigracyjną.

Czas obecny nie sprzyja na ogół separatyzmowi i wyodrębnianiu się poszczególnych obszarów literackich. Antagonizmy dzielące świat, bezsenna czujność cenzury i przeszkody stawiane handlowi księgarskiemu nawet wewnątrz poszczególnych bloków politycznych nie wstrzymały procesu powszechnej niwelacji literatury (...) Sam już konformizm gustów publiczności nie pozwala przewidywać, aby w najbliższym czasie między literaturą krajową i emigracyjną miały powstać jakieś głębokie różnice (...)

Ale czy i na dalszą metę pisarze emigracyjni zachowają swe miejsce w zainteresowaniach czytelników krajowych? Tu Paweł Hostowiec ma pewne wątpliwości, albowiem —

autorzy nieobecni przy rozdziale nagród i nie biorący udziału w codziennej fabrykacji historii anegdotycznej literatury schodzą z pola widzenia krytyków (...) Pisarze emigracyjni, którzy nie utrwalią się sami w pamięci czytelników, nie mogą zbyt licznie liczyć na to, że ich rozproszone rękopisy — jak niegdyś Stowackiego i Norwida — zostaną z pietyzmem odcyfrowane przez profesorów i zalecone do czytania w szkołach...

Wróćmy jeszcze do czasopism krajowych. „Przegląd Kulturalny” przynosi w numerze 27, jak zawsze, sporo ciekawych pozycji, lecz jednocześnie parę nadających się raczej do dziennika. Specjalne zainteresowanie może wzbudzić artykuł Andrzeja Oseki „Upodobania nieobecnych”. Jest to bolesna, wielokrotnie poruszana sprawa masowego odbiorcy sztuki, będącego „mitem, fetyszem, postrachem”. Autor wypowiedział kilka prostych myśli, które nie znalazły jednak dotychczas tak trafnego sformułowania. Mówi on np., że należy zaliczyć do grubych fałszów mniemanie, jakoby publiczność nie rozumiała jedynie kubizmu, nadrealizmu lub też malarstwa abstrakcyjnego. Nie dostrzega ona również prawdziwych wartości Głoriona, Rembrandta, Michałowskiego —

Jest rzeczą powszechnie znaną, że dzieło sztuki, które wywołuje wątpliwości, które wymaga wysiłku intelektualnego ze strony widza — spotyka się natychmiast z jego gwałtowną dezaprobatą. I odwrotnie — jeżeli widzowi wydaje się, że wszystko już rozumie, zgodzi się nawet na najzupełniej sobie obcą konwencję artystyczną. Na tym polega powodzenie bladeńskich formułek na pojmanie sztuki nowoczesnej, upajanych naszej publiczności przez ilustrowane magazyny. Snobujący się na modernę koltun zostaje poinformowany, że niezrozumiała dlań kakofonia płamek to

(Dokończenie na str. 8)

Z periodyków — na wrywki

(Dokończenie ze str. 7)

„impresjonizm” i że trzeba na to patrzeć przymrużonymi oczami. Mruży oczy i jest zadowolony (...) Społeczny arsenał automatycznych reakcji estetycznych powiększa się o jeszcze jeden odruch. Kapłani nowoczesności radują się tymczasem, zdobywając dla swego kościoła jeszcze jedną duszę.

Uogólnienie może nieco za ryzykowne, ale artykuł kończy się arcy-słuszną uwagą:

redukcja plastyczna naszego społeczeństwa nie może być realizowana poprzez zastąpienie starych formułek — nowymi. Jeszcze większą zbrodnią (do której jednak nie waha się namawiać rozmaitości „politycy kulturalni”) byłoby ulec gustom i przyzwyczajeniom publiczności. Tendencja taka równoznaczna jest z wyrokiem śmierci wydawanym na całą sztukę, nie tylko na najbardziej nowatorskie kierunki artystyczne (...)

W numerze 27 „Zycia Literackiego” również na czoło wysuwają się sprawy plastyki, w stałej wkładce pod redakcją Janusza Boguckiego. Znajdujemy tu przede wszystkim „Pytania z teorii poznania” — Bohdana Urbanowicza i bardzo ważny dla historii malarstwa artykuł Jerzego Ludwińskiego pt. „Między muzyką, baśnią i abstrakcją. Ciurlionis — pierwszy abstrakcjonista” (przyznam się, że artykuł ten budzi specjalnie głośne echo w moich własnych, datujących się od dawna, zainteresowaniach wspaniałym malarzem i muzykiem litewskim). Zwracają też na siebie uwagę w tym numerze „Zycia Literackiego” dwa reportaże z Opola, wydrukowane „w ramach akcji”. Dlaczego aż dwa naraz? Prawdopodobnie dla równowagi: jeden bowiem jest zdecydowanie

pesymistyczny („Reportaż z pompą”), drugi natomiast jak najbardziej różowy, w stylu realizmu matysiakowatego („Dobre wieści”).

I wreszcie *last but not least*, wręcz przeciwnie — bardzo ważne wydarzenie kulturalne pierwszej dekady lipca. Międzynarodowy Zjazd Tłumaczy w Warszawie, uwzględniła w sposób godny „Trybuna Literacka” zamieszczając spory fragment przemówienia inauguracyjnego wygłoszonego przez prezesa polskiego PEN-Clubu, Jana Parandowskiego, który wypowiedział m. in. taką myśl nacechowaną głębokim humanizmem:

Historia literatury uczy nas, jak często odrodzenie literatury narodowej następowało dzięki wpływowi obcym z zewnątrz i wszystkie literatury, nawet najbogatsze, zachowujące obojętność wobec myśli i form, których same nie stworzyły, narażają się na uwiad i tylko nagle wtargnięcie obcych kierunków myślowych przywraca im siły i świeżość.

m. b.-r.

KSIEGARSKIE nowaliki

W dzisiejszej wiązance „nowalijek” rodzimych, polskich, pierwsze miejsce oddać muszę debiutowi L. J. Kozłowskiej pt. „CZARNE NIEBO” (Czyt., opr. brosz., c. z 17, nakł. 3.000), który z najświeższych nowości beletrystyki polskiej jest pozycją najoryginalniejszą. Książka ta stanowi tom napisanych z dużą kulturą pisarską opowiadań, powiązanych ze sobą postaciami bohaterów. Dobrze odtworzone tło okresu okupacji i pierwszych lat powojennych wskazuje na znaczny wkład osobistych przeżyć autorki.

W Łódzkie dało nam nową powieść historyczną B. Sułkowskiego pt. „NIE BOGOWIE” (opr. brosz., c. z 25, nakł. 10.000), osnuta na tle bohaterskich dzieł z doby Meksyku, Fernanda Corteza. Silnie rozbudowany wątek romantyczny, ukazujący w nowym świetle stosunek, łączący wielkiego konkwistadora z indiańską kochanką-tłumaczką Mallinalą, czyni książkę łatwą i ciekawą w czytaniu. „Iskry” w popularnej serii „Naokoło świata” wydały pt. „ZE SFINKSEM

W CZTERY OCZY” (opr. brosz., c. z 13, nakł. 10.000) tomik reportaży Z. Jęzewskiej z wędrowek i prac wykopaliskowych grupy polskich egiptologów podczas ostatniej ich wyprawy z prof. K. Michałowskim w r. ub.

Również podróżniczą literaturę reprezentuje najnowsza książka G. Bidwella pt. „LIVINGSTONE” (SIT, opr. płóc., c. z 23, nakł. 6.000), ujmująca całokształt działalności odkrywcy tego wielkiego człowieka i badacza.

Kolejną ofertą obfitą obecnie w literaturze „varsavianów” ucielesz wiadomości o wyjściu z druku drugiego tomu (w dwóch woluminach) „PITAWALA WARSZAWSKIEGO” S. Szenieca (Czyt., opr. brosz. w obw., c. z 45, nakł. 10.000), obejmującego najgłośniejsze sprawy kryminalne okresu od 1795 do 1914 roku, i ukazanie się „SZKICÓW WARSZAWSKICH” St. Łoży (PIW, opr. płóc., c. z 20, nakł. 5.000), opisujących dzieje poszczególnych obiektów architektonicznych przedwojennej Warszawy. Dobre fotografie i obfitość materiału anegdotalnego stanowią o atrakcyjności tej książki nie tylko dla architektów.

Także PIW oddał do rąk księgarzy dwie dalsze pozycje z cyklu „Monografie człowiek polskich aktorów”, a mianowicie: „BOLESŁAWA LESZCZYŃSKIEGO” (oprac. R. Górskiego, opr. brosz., c. z 10, nakł. 2.000) oraz „LEONTYNE HALPERTOWĄ” w opracowaniu H. Swietlickiej (opr. br., c. z 12, nakł. 2.000).

Najciekawszą pozycją literatury przekładowej ostatniego tygodnia jest bezspornie książka jednego z najwybitniejszych pisarzy amerykańskich najmłodszego pokolenia. Psychologiczna powieść Tr. Capote’a pt. „INNE GŁOSY, INNE SCIANY” (Czyt., opr. brosz., c. z 10, nakł. 20.000) wprowadza nas w skomplikowany świat przeżyty 13-letniego chłopca, który przybywa do zapadłej miejsciny w Luizjanie, by na stałe połączyć się z wyśnionym w marzeniach ojcem. Tragiczne rozczarowanie po odnalezieniu go jako niedołęznego paralityka, wypełniająca dom denerwująca atmosfera kompleksów i zbrochen powodują w duszy chłopca dramatyczne zrywy i szamotania, zrodzone z potrzeby ukończenia i zdobycia czegoś uczucia. Przekład B. Zielińskiego.

Nowością również jest u nas historyczna powieść A. Rambauda pt. „PIERSCIEN CEZARA” (KlW, opr. brosz., c. z 20, nakł. 10.000), stanowiąca dla młodych Francuzów odpowiednik naszej „Starej baśni” Kraszewskiego. Tłem barwnie opisanego dzieł walecznego i prawego Wenestosa, naczelnika Doliny Bobrow ludu Paryzów (opodal grodu Lutecji), jest tragiczna walka Gallów o niepodległość przeciw żelaznym hufcom Cezara. Pomimo kłopotliwej poniesionej przez Wercyngetyryksa bohater powieści dzięki przypadkowi uzyskuje przychyłość wielkiego wodza Rzymian, a z nią możliwość poznania szerokiego przestrzeni Imperium. Przekład autoryzowany S. Honesti.

Z ulgą mogę wreszcie zawiadomić P. T. Czytelników naszych, że wyszedł już z druku ostatni (piąty) tom „Wielkiej wojny białych ludzi” A. Zweiga pt. „UMIŁKLY

DZIAŁA” (Czyt., opr. płóc., c. z 27, nakł. 20.000), doprowadzający dzieje szeregowego Bertina do przełomowego dla Niemiec momentu, jakim było, po klęsce pod Cambrai, nawiązanie pertraktacji pokojowych z rewolucyjną Rosją. Książka posiada postawie autora, wyjaśniające genę i skomplikowane dzieje owego ostatniego tomu wielkiego cyklu. Tłumaczenie W. Kragen.

Na zakończenie jeszcze jedna przyjemna wiadomość: oto wkrótce ukaże się na rynku księgarskim ostatnia i bodaj najlepsza powieść E. Remarque’a pt. „CZARNY OBLISK” w tłumaczeniu A. Kaski (Czyt., opr. brosz., c. z 25, nakł. 10.000), o której powodzeniu wśród czytelników nie wątpli

Wasz
NOWINKARZ

Noty

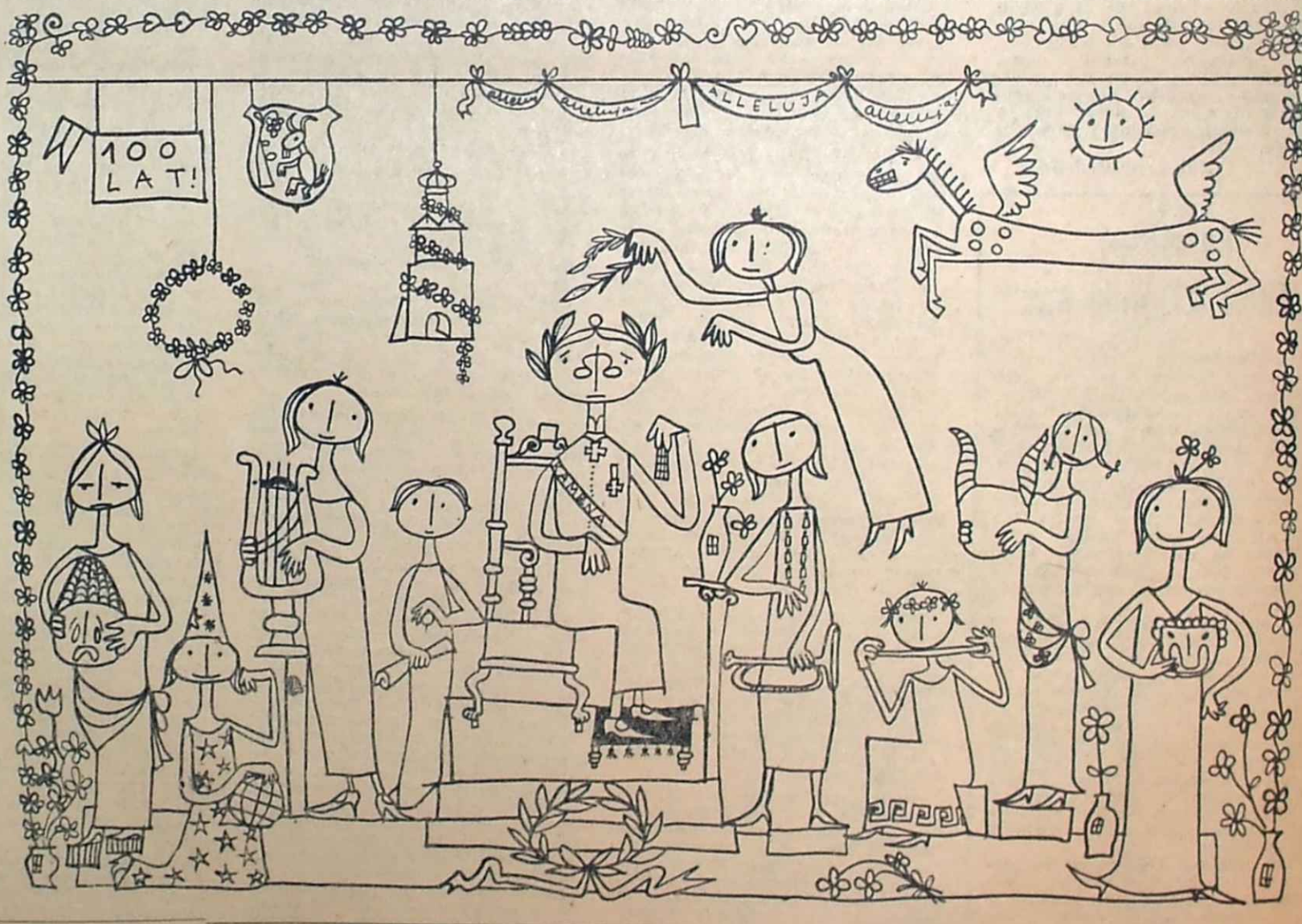
PIĘĆ LAT KACETU — wspomnienia Stanisława Grzesiuka, które niedawno ukazały się nakładem „Książki i Wiedzy”, to rzecz obdługająca swym surowym i okrutnym autentyzmem od wielu relacji innych więźniów z pobytu w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Nic tu z literatury, na którą zresztą nie silił się autor, człowiek prosty, nie mający pod tym względem żadnych aspiracji. Redaktorzy tych wspomnień słusznie uczynili nie retuszując zbytnio jego styl i język. Tym większą bezpośredniość, tym straszliwszą wymowa tego dokumentu. Martyrologia ofiar Mauthausen i Gusen jest tak okropna, że nawet piszący te słowa, który poznał obóz w Sachsenhausen i oswoił się z okrucieństwem hitlerowskim, czytał tę książkę wstrząśnięty do głębi.

NASZE PYTANIE POD ADRESEM „RUCHU” w nrze 9 „Kamień” uzyskało odpowiedź, która ułatwił nieco polowanie w Lublinie na „Twórczość”, „Odrę” i „Orkę”, bo ograniczyły łowy do podanych nam w wyjaśnieniu locy: Krakowskiego Przedmieścia, 3 Maja, 1 Maja, Lubartowskiej, Buczka i Alei Racławickich. Szkoda tylko, że „Ruch” zamiast nazwisk nie podał nam numerów kiosków, bo to dość kłopotliwe pyta: przepraszam bardzo, czy ten kiosk prowadzi pan taki a taki, ponieważ chciałem nabyć „Twórczość”. PIĘKNA ANTOLOGIA SEWERYNA POLAKA nie wiadomo czemu ma tytuł „130 poetów”. Zadalimy sobie trud i dolżyliśmy się tylko 123. Czyżby Klujew ciężarem gatunkowym swego jednego wiersza liczył się za osmłu i prócz siebie reprezentował Gumilowa, Sologubę, Chodasiewiczę i in.?

—kaj—

Rysunki w numerze:
Teresa Targońska

Jan Padée — Jubileusz



Dwutygodnik literacki „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544, Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 2812 27.VI.58 3.000 K-4/283